Nr. 1. Kraków, Niedziela 1. Stycznia 1899. Rok I.

Wszelkie przesyłki pieniężne i listy adresować należy:
Antoni Stróżyński
Kraków, Krzywa 6, I. p.
Listy nieopłacone nie przyjmują się.

Adres Redakcyi i Administracyi.
Kraków, Rynek główny Nr. 23.

Ogłoszenia
przyjmują się w Administracyi pisma po cenie 5 cnt. za wiersz petitowy.

Numer pojedyńczy kosztuje 5 cnt.

ŁĄCZNOŚĆ

dawniej „Grzmot".

Organ Stronnictwa katolicko-narodowego
oraz Związku krajowego katolicko-robotniczych stowarzyszeń.
Wychodzi co tydzień w Niedzielę.

Numera pojedyncze nabywać można:
w Krakowie:
w redakcyi pisma od 11—12 rano i od 5—7 wiecz., z wyjątkiem niedziel i świąt, u wydawcy od 9—12 rano; w biurze dzienników Hopcasa i Salomonowej; w Sukiennicach u p. Mańkowskiej i w handlu papieru p. Karlińskiego i we wszystkich księgarniach.

Nieopieczętowane reklamacye wolne są od opłaty pocztowej.

Biuro Redakcyi otwarte codziennie od godziny 10—12 i od 5—7 wieczór, z wyjątkiem niedziel i świąt.

Prenumerata wynosi:
w Austryi z przesyłką: rocznie 2 złr. 50 cnt., półrocznie 1 złr. 25 cnt., kwartalnie 70 cnt.

Z Bogiem i z Narodem!

Wydawca: *Antoni Stróżyński.*

Prenumerata wynosi:
Za granicami Austro-Węgier: rocznie 4 złr., półrocznie 2 złr., kwartalnie 1 złr.

Od Wydawnictwa.

Przyjaciele! Stary rok skończył się, a Nowy zaczął, a wielu z naszych prenumeratorów zalega jeszcze z prenumeratą.

Upraszamy Was przyjaciele gorąco o wyrównanie prenumeraty, żebyśmy nakład i wysyłkę pisma uregulować mogli.

Pismo nasze nie stoi na obcym żołdzie, ale jest organem związku krajowego naszych stowarzyszeń, jakoteż organizującego się stronnictwa katolicko-narodowego.

Poparcia też Waszego Przyjaciele potrzebujemy — a poparciem tem jest Wasza prenumerata — jako też żywa agitacya w tym kierunku, żeby pismo Wasze znalazło się w rękach każdego polskiego robotnika.

Jeśli sprawa nasza ma pójść raźno naprzód, jeśli hasła nasze zwyciężyć mają — musimy wszyscy wspólną pracę energicznie popierać!

Nasze pismo.

Wszędzie, na każdym kroku, w każdej chwili spotykamy się dzisiaj z walką klasową, z walką różnych warstw i zawodów, różnorodnych dążeń, pragnień, interesów. Zdawałoby się na pozór, że tych ludzi, którzy wzrośli w jednym kraju, nawet w jednej miejscowości, którzy żyją obok siebie i społem pracują, dzieli wiekowa, niczem nie przełamana nienawiść; zdawałoby się, że nie mają oni nic innego przed oczyma, jak tylko bój śmiertelny, że niczego tak gorąco nie pragną jak zgniecenia wroga — który przecież jest współobywatelem, sąsiadem, towarzyszem, bratem.

Walka klasowa stała się hasłem powszechnem od dziesiątek lat, wre ona w całej Europie, od dłuższego już czasu — dostała się i do nas. Z góry, bezwzględnie potępić jej niepodobna — i walka może się przydać jako środek do celu, nigdy jednak nie powinna być celem dla siebie. Wszak każda wojna jest zgubną i nieszczęsną, lecz znamy wojny konieczne i sprawiedliwe — wojny o niepodległość i byt narodu. Ale wojna dla wojny, wojna doprowadzająca do upadku i zguby obie strony, wojna bez pokoju i celu — taka wojna jest chyba największą klęską społeczną, jest najstraszniejszą zbrodnią. Walka klasowa jest wojną, gorszą od innej, bo bratnią — jest konieczną, o ile prowadzi do uchylenia krzywd i do zgody — jest ohydną, gdy toczą ją dla niej samej, dla wywołania nienawiści, lub korzystania z rozbudzonych namiętności. A dla nas, pozbawionych niepodległości, rozbitych na trzy części, gnieciony i krzywdzonych, są spory wewnętrzne stokroć jeszcze szkodliwsze; rozdzierają naród po raz czwarty i dziesiąty, tworzą nie trzy, ale setki zaborów. Walka klasowa to zbytek, na który mogą sobie pozwolić narody szczęśliwsze, dla nas to tylko wzmnożenie wrogów, a osłabienie nas samych. Nam potrzeba jedności, nie walki, bo i tak musimy wytężyć wszystkie siły, dla obrony naszej ojczyzny i wiary, bo i tak niestety tych sił nie mamy za wiele.

Hasła walki i nienawiści z natury rzeczy przyjmują się najlepiej pomiędzy niezadowolonymi, zaniedbanymi i pokrzywdzonymi. Zgoda i jedność, możliwe tylko między równymi i silnymi nie ma ich nigdy między używającym a cierpiącym. Długie lata zaniedbywano słabszych, nie liczono się z pragnieniami i potrzebami warstw niezamożnych, żyjących z drobnego kawałka roli i z pracy rąk swoich. Nie podobna się dziwić, że tutaj właśnie rzucone ziarno wydało plon obfity, nie podobna wymagać, aby zrozumiano odrazu całą szkodliwość, całą nicość zarzewia nienawiści, rzucanego pełnemi garściami. Należało przedewszystkiem pracować przeciw temu, zyskać zaufanie, wpoić w nieszczęśliwych i słabych przeświadczenie o ich społecznem znaczeniu, przekonać ich o dobrych chęciach narodu, zorganizować w potężną falangę, aby mówić o zgodzie, o wzajemnem zapomnieniu uraz.

Pracowano nad tem długo. Z drobnych początków powstała silna organizacya robotników chrześcijańskich, posiadająca stowarzyszenia rozrzucone po całym kraju, rozporządzająca organami, popierającymi interesy jej członków i wszystkich klas pracujących. I oto od niej, od robotników, od warstw, które wogóle dostarczają największego kontyngensu dla wszystkich walk wewnętrznych, wychodzi myśl jedności i łączności, myśl wspólnej pracy wszystkich na rzecz wszystkich, myśl połączenia wszelkich stanów pod sztandarem wiary i ojczyzny — powstaje myśl założenia stronnictwa katolicko-narodowego, którego organem ma być **„Łączność"**.

Naszem hasłem jest wiara i ojczyzna, naszym programem sprawiedliwość, równouprawnienie wszystkich, wspólna praca dla całego narodu. Nie znamy warstw, klas i stanów, nie znamy nienawiści i służalstwa, wiemy tylko, że wszyscy jesteśmy braćmi, że wszyscy mamy tę samą wiarę i ojczyznę, że tylko, gdy wszystkim będzie dobrze, możemy mówić o narodowym rozwoju. Z drobnych zaczątków zmieniamy się w ogólno narodowe stronnictwo, w którem każdy znajdzie miejsce, kto tylko przyjdzie z dobrą wolą i w dobrej wierze przyjmie nasze hasła. Powstanie swe zawdzięczamy szerokim warstwom pracowników, od których w pierwszej linii zależy byt ogółu, dla nich więc pracować będziemy, nie na to, aby popierać ich żądania klasowe, lecz dlatego, że one stanowią główną podstawę, główną siłę każdego narodu, żeśmy to niestety zbyt długo zapomnawali.

„Łączność" nasza nie ograniczy się tylko do nazwy. My chcemy połączyć wszystkich dobrej woli, chcemy, by wszyscy wspólnie z nami pracowali, *chcemy łączności rzeczywistej, łączności pracy, nie słów tylko, łączności na gruncie dobra ogółu.*

„Łączność" nie popiera ani nie zwalcza z góry nikogo, jej nie chodzi o osoby lecz o rzecz samą, o działalność publiczną; jej uznanie nie ma być patentem na późniejszą bezczynność, jej krytyka nie powinna nikogo odstręczać. Z dobrą wiarą, w imię dobra ogólnego będziemy popierać wszystko co jest zgodnem z interesami narodu i jego podstaw — warstw włościańskich i robotniczych; bez nienawiści i uprzedzeń lecz z wszelką bezwzględnością wystąpimy przeciw każdemu, kto niedbale wypełnia swe obowiązki publiczne, lub swem postępowaniem wyrządza krzywdę społeczeństwu. Naszym przyjacielem jest każdy działający dla dobra narodu, jak długo szczerze i uczciwie pracuje, naszym wrogiem, kto tylko przynosi szkodę społeczeństwu, jak długo nie zmieni swego postępowania. Nie ma dla nas wiecznych przyjaciół lub nieprzyjaciół, *pragniemy łączności wszystkich w imię sprawiedliwości, wiary i ojczyzny, dla pracy nad podniesieniem narodu.*

Dr. Włodzimierz Czerkawski.

Nasz program.

«Grzmot» zmienia swą nazwę na «Łączność». Pozostając nadal organem Stowarzyszeń robotniczych katolickich rozszerza jednak sferę swego działania i staje się jednocześnie organem stronnictwa katolicko-narodowego.

Już przez to samo, że nasze pismo jest organem stronnictwa, jasną jest rzeczą, iż program jego nie może być niczem innem, jak odbiciem programu stronnictwa, że cele są tu jednakowe, że pismo musi być echem tych samych dążności, jakie spowodowały zorganizowanie się stronnictwa katolicko-narodowego i wyraz swój znalazły w jego programie. Program i stronnictwo — to w życiu politycznem dwa czynniki składowe — ściśle zespolone, nierozdzielne — jednego i tego samego zjawiska. Program bez stronnictwa — to goły świstek papieru pozbawiony wszelkiego znaczenia; stronnictwo bez programu — to masa błędna, nieświadoma celu i anarchiczna. Chcąc nieco bliżej poznać program stronnictwa katolicko-narodowego, któremu «Łączność» ma odtąd wiernie służyć, musimy choć pokrótce przypomnieć, jaką drogą oba te czynniki powoli się wytworzyły.

Inicyatywa wyszła tu ze stowarzyszeń robotniczych katolickich, które postanowiły rozszerzyć ramy dotychczasowej organizacyi, przyciągnąć ku sobie inne, pokrewne warstwy ludności polskiej, wejść z niemi w ściślejszy związek i skupić w ten sposób liczniejsze zastępy ku działalności wspólnej.

Zbliżenie to i zsolidaryzowanie może być osiągniętem w dwóch wypadkach: albo przyszli ewentualni członkowie stronnictwa, już przed połączeniem się w jedno ciało, ożywieni są jednakowemi uczuciami i dążeniami — a wtedy organizacya ma na celu tylko zjednoczenie sił i środków w obronie tych zasad wspólnie wszystkim przyświecających; albo też interesy tych grup czy jednostek — choć nie jednakowe, ale i nie sprzeczne między sobą, są tej natury, że dadzą się razem sprzęgnąć i zespolić — a wtedy organizacya jest przymierzem i zapewnia sprzymierzonym zobopólną wzajemną pomoc i poparcie na rzecz tych równouprawnionych interesów materyalnych czy moralnych.

Kongres zwołany na wiosnę ubiegłego roku wykazał, że istnieją dane do pożąda-

nego porozumienia się i to jednocześnie w obu kierunkach.

Uczestnicy kongresu poczuli przedewszystkiem, że są katolikami i że są Polakami; uprzytomnili sobie siłę i potęgę tych dwóch najważniejszych węzłów społecznych, zrozumieli wreszcie, że koniecznością chwili jest podjęcie wspólnej akcyi — tak dla obrony przeciwko jawnym napaściom i skrytym usiłowaniom wrogów religii i ideałów narodowych, jak dla utrwalenia i wzmocnienia pozycyi kościoła katolickiego w społeczeństwie, dla zapewnienia zasadom moralności chrześcijańskiej należnego im miejsca w życiu publicznem, dla zaszczepienia u młodych, a wzmocnienia u starych gorącej i szczerej miłości ojczyzny.

Nic więc dziwnego, że te dwie najwyższe zasady — religijna i narodowa — wysunęły się w programie na plan pierwszy i że około tego sztandaru zgrupowało się niezwłocznie stronnictwo, które też przyjęło nazwę katolicko-narodowego.

Ale po za tem nastąpiło zbliżenie i innej natury. Obecni robotnicy, rzemieślnicy, włościanie — po zobopólnej wymianie myśli, po wywnętrzeniu swych bólów i dolegliwości, doszli do przeświadczenia, że choć sfery ich działania są różne, a stąd odmienne i poszczególne ich interesy, istnieje przecież jeden pukt zetknięcia: równe poczucie biedy, niedostatku i upośledzenia ekonomicznego.

Stąd zrodziła się myśl połączenia wyrażonych postulatów w jeden, pod hasłem podniesienia bytu materyalnego, a pośrednio i moralnego warstw uboższych — myśl uznania interesów robotniczych, włościańskich i rzemieślniczych za sprzymierzone, za solidarne — chęć i trwała wola bronienia ich połączonemi siłami i zgodnego ich popierania. Tak powstał szereg postulatów, życzeń i żądań, które wszystkie kongres połączył w jednej uchwale, a które po systematycznem ich ułożeniu przez komisyę redakcyjną, znalazły swe miejsce w programie stronnictwa katolicko-narodowego.

Jeżeli wreszcie zwrócimy uwagę na ducha i na charakter proponowanych reform, stwierdzić musimy, że wspólną ich cechą nie jest dążenie do wywrócenia istniejącego porządku społecznego, lecz przeciwnie przyjęcie tego porządku jako stały punkt oparcia; że reformy organiczne nie zmierzają bynajmniej do zasilenia jednych, nieszczęśliwych i upośledzonych kosztem innych, znajdujących się w szczęśliwszem położeniu, ale do wytworzenia takich warunków, któreby umożliwiły wszystkim razem i każdemu obywatelowi z osobna normalny rozwój jego osobistych zdolności; że stronnictwo, nie żebrząc o łaskę, domaga się od społeczeństwa, aby z poczucia obowiązku chrześcijańskiego, ze zrozumienia pożytku powszechnego i w swoim, dobrze pojętym interesie przyłożyło samo ręki do naprawy istniejących stosunków; że wreszcie oczekuje stronnictwo od państwa usunięcia niektórych ustaw szkodliwych lub zastąpienia ustaw niewystarczających nowemi, uwzględniającemi w wyższym stopniu równorzędne interesy warstw zaniedbanych. Wtedy jasnem się dla nas stanie, że stronnictwo katolicko-narodowe tak przedmiotowo stawiając kwestyę reformy społecznej ze ścisłe *ludowego*, jakiem było w swem założeniu, wyrosło na *stronnictwo narodowe* w całem tego słowa znaczeniu. Odrzuca ono stanowczo ciasny, klasowo-egoistyczny charakter, a nie czyniąc różnicy pomiędzy poszczególnemi warstwami i stanami ludności polskiej, na oścież wszystkim ludziom dobrej woli otwiera swe podwoje. *Do walki staje ono jedynie z wrogami krzyża i polskiego ludu*, z otwartem za to sercem wita każdego obywatela, co w imię przywiązania do Kościoła, miłości ojczyzny i idei równouprawnienia warstw społecznych, do stronnictwa przystąpi i szczerą chęć wzięcia żywego udziału w zamierzonej akcyi politycznej objawi.

W tym też duchu — *katolickim, polskim i demokratycznym*, pismo nasze *Łączność* postępować będzie. Oby czyny i intencye nasze sądzone były z tą dobrą wiarą, z jaką my do rozpoczynanego obecnie dzieła przystępujemy.

Dr. M. Rostworowski.

Kilka myśli robotnika.

Rok stary długim szeregiem smutnych dni skończył się, nie jedną łzę z zbolałego oka wycisnął, i nie jeden jęk wyrwał się z boleścią przepełnionej piersi.

Zapytać się godzi czy my, którzy stanęliśmy pod sztandarem krzyża i orła białego, którzy zdawaliśmy sobie sprawę z niebezpieczeństwa rzuconych haseł w szeregi robotnicze, czy uczyniliśmy w tym roku wszystko, aby tę hydrę rozkładu, która wznieciła *wojnę domową*, zniszczyć, uczynić nieszkodliwą, a braci naszych na dobrą wprowadzić drogę? Tak, braci naszych, mimo różnicy przekonań; bo wszyscy tworzymy jedną wielką robotniczą rodzinę, i dla tego mamy prawo głos zabrać, udzielić rady i pomocy, i razem cieszyć się lub smucić, płakać lub szukać jaśniejszego promyka słońca dla naszego żywota. Lżej nam będzie jeżeli rzucimy się sobie w objęcia i łza żalu miłości bratniej zrosi nasze oblicza.

Siądziemy razem, odbędziemy rachunek sumienia, naszej pracy, naszych wad, naszej słabości. I lżej nam będzie kiedy otworzymy serca nasze i wypowiemy bez ogródek co na ich dnie leży. Zapytamy się, czy te wielkie nadzieje, pragnienia się ziściły? Zapytamy się, czy lżej ci ojcze obarczony liczną rodziną? Czy dziś dajesz większy kęs chleba twemu dziecku, tej cząstce krwi twojej? Czy już nie słyszysz ty matko i ojcze tego rozpaczliwego kwilenia — Jam głodny? A my co na to odpowiemy? Bezsilni, bezradni, zrozpaczeni, milczeć będziemy i łzą nam zajdzie nasze oko. To jeszcze dobrze, kiedy łza popłynie, to dowodzi, że uczucie nasze nie stępione, nie zamarłe. Ale stokroć gorzej, jeżeli dobędzie się jęk straszny i na ustach zwiśnie przekleństwo, groźba lub pragnienie zemsty.

I nie zmieni się dola nasza, jak długo siedząc bezczynnie na naszym barłogu, wyczekiwać będziemy cudu! Nie zmieni się, pokąd będziemy dawać posłuch ludziom szatanom, którzy się tuczą naszym groszem i głoszą fałszywą naukę sprośności i bluźnierstwa.

Jakaż to niezmierzona głębia powodów, które się na tę niedolę składają. Ile to sideł zastawiono na naszą nieświadomość, ile pokus zwodniczych, ponętnych nasunięto przed nasze oczy, ile haseł przewrotnych rzucono, aby nas tem łatwiej, tem prędzej rzucić w kałużę błota, aby po ciałach robotniczych dojść do zaszczytów, potem nas kopnąć.

Rok stary dobiegnął do końca i jak rzekłem musimy zrobić obrachunek. Kto przeszedł wszystkie gamy boleści, kto przeszedł wszystkie stopnie niedoli, kto potem swoim skropił krawędzie warsztatu, komu boleść rozsadza piersi, na widok, że bracia jego padają ofiarą wyrafinowanego oszustwa i idą jak ćmy do światła aby swe skrzydła opalić i potem cierpieć, — ten ma prawo głos zabrać i powstrzymać ich w szalonym zapędzie na cuchnące trzęsawiska, gdzie czeka ich niechybna zguba.

Że źle się dzieje temu nikt nie zaprzeczy, że dążyć należy do poprawy naszej doli na to się godzą wszyscy, chociaż so-

KAMIEŃ.

Szkic Gilberta Parkera.

Rudy kamień wisiał na pochyłej skale Czerwonego wzgórza. Po jednej stronie, głęboko pod nim, leżała osada, szczelnie stulona, jak gdyby garstka mieszkających tu ludzi czuła potrzebę zwarcia się pospołu, aby się nie wydać drobnym pyłkiem wobec ogromu natury. A jednak jeśli kto stał obok kamienia i patrzał w dół, ów rząd drewnianych chatek zdał mu się być opłotkiem, umieszczonym u końca długiego koryta. Od kamienia bowiem aż do wioski ciągnęło się w stoku góry głębokie wyżłobienie, rzekłbyś, iż wydrążyli je niegdyś wielkoludy, igrając olbrzymiemi kręglami. Po drugiej stronie skały była też dolina, ale niezamieszkała; u jednego boku kamienia gęsto wyrosły drzewa.

Ten rudy kamień był potężny i dziwny. Widziany wprost od wsi, rysował się na tle nieba; chwilami zdawało się, że się unosi w powietrzu i wielu twierdziło, iż widzieli próżnię pomiędzy nim a podwaliną skały, na której spoczywał. Wydarzało się to zwykle wieczorem, gdy słońce poza nim zachodziło; wtedy smugi światłości wsuwały się u podnóża między podwalinę a kamień, nadając mu fantastyczny pozór, jakoby bujał w powietrzu lub jak meteor w tej chwili właśnie na szczyt góry opadał. O innej porze, gdy powietrze było czyste, blask niezbyt silny, a stroma góra, na której stała wioska, mocniej oświecona od tamtej, można było sobie dokładniej zdać sprawę istotnem położeniu kamienia. Wtedy mogłeś dojrzeć, iż się opierał na szczuplej podporze, jakoby na cienkim słupie z granitu. Ale jeżeliś patrzał długo, mianowicie w dzień letni, gdy powietrze drgało, wtedy zdawał się zwolna na tym słupie kołysać, a im patrzałeś uważniej i dłużej, tem złudzenie było silniejsze, aż strach przejmował. Raz pewna kobieta, która wkrótce miała zostać matką, wpadła w obłąkanie na myśl, że w wielkiej chwili porodu kamień stoczy się ze szczytu wzgórza i zmiażdży ją i jej dziecię. Indyanie nie chcieli mieszkać ani po stronie wioski ani na drugiej w dolinie. Mieli podanie, iż przyjdzie dzień, w którym nieznany mąż, zwany przez nich *śpiącym człowiekiem*, powstanie ze swego legowiska ukrytego wśród gór, i gniewny, że mu domami zawalono miejsce igrzyska, zrzuci rudy kamień na tych, co śmieli zamieszkać na wzgórzu. Ale biali ludzie mało zważają na indyjskie podania.

Każdy z tych, co przybywali do wioski, prędzej lub później szedł zwiedzać ów kamień. Pomimo, iż był olbrzymim, podstawa, na której się opierał, była istotnie bardzo maleńka i widok, jaki się od spodu wzgórza przedstawiał, nie był całkowicie mylnym. Być może, iż się kiedyś rzeczywiście kołysał, i że to kołysanie wyżłobiło z lekka miejsce, na którem spoczywał. Człowiek, który pierwszy tu osiadł szukając złota, nieraz przerywał swą pracę, aby się obejrzeć na kamień, w strachu, czy się na niego nie stoczy; potem śmiał się sam z siebie, boć przecie, mówił, skały te już lat tysiące tu stały. A jednak świeżo przybyli kładli się spać nieco niespokojni i nieraz w nocy zrywali się ze snu i szli patrzyć na rudy kamień, groźnie w świetle księżyca nad ich głowami wiszący, lub gdy noc była ciemna, słuch trwożliwie wytężali w tę stronę. Gdy księżyc wstawał późno, wprost z tyłu poza kamieniem, wtedy tenże wydawał się jakąś martwą, czarną planetą, toczącą się ku złotemu światłu, aby je swem brzemieniem przydusić.

Ale nikt z mieszkańców wioski nie spoglądał na kamień temi samemi oczyma, co ów pierwszy człowiek u stóp jego osiadły. Patrzał on nań latem, zimą i znowu latem, samotny, od ludzi daleki, i nikt krom zabłąkanej niekiedy sarenki lub stada dzikich kaczek nie dzielił się z nim tym widokiem. Pewnego dnia zbudził się bardzo rano i dziwnem uczuciem przejęty, wyszedł patrzeć na kamień. Tu na samym szczycie ujrzał siedzącego orła, a choć powtarzał sobie, iż ciężar ptaka nie zaważy na tak olbrzymiej masie więcej niż piórko na powierzchni świata, przecież przez cały dzień nie spuścił zeń oczu, orzeł zaś cały dzień na kamieniu pozostał. On sam był człowiekiem olbrzymiego wzrostu i niezmiernej siły; muszkuły w członkach jego zdały się być z giętkiej a niezłomnej stali. A przecież, jakby na wyśmianie tej mocy, nieba czy losy nad nim się znęcały: chleb w ustach jego obracał się w popiół, wszystko mu w rękach się rwało, pomyślność już osiągnięta zamieniała się w nędzę. On odkrył złoto a drudzy je zbierali, jego to córka wpadła w szał i urodziła umarłe dziecię ze strachu przed groźnym kamieniem. Raz gdy się udał za góry do innej kopalni, gdzie niespodzianie zamiecie śnieżne czas jakiś go zatrzymały, żona jego zasłabła i zmarła z głodu, gdyż nikt ze wsi nie pamiętał o niej. To znów pewnej strasznej nocy, jedynego syna porwano mu z łóżka i prawem *lynch*'u powieszono za zbrodnię, której nie był winnym, o czem się sami zabójcy przekonali nazajutrz. Wtedy zamordowawszy w sposób okropny prawdziwego winowajcę, ofiarowali biednemu ojcu

cyaliści, sługusy liberalno-masońskiej kliki, odsądzają ich od czci i wiary, lecz tu chodzi o wybór drogi, sposób walki i zastosowanie środków.

Jeżeli domagamy się słusznych praw naszych, jeśli żądamy ażeby nam dali to, co się jako ludziom słusznie należy, to również powinniśmy zadość uczynić obowiązkom, jakie na nas wszystkich i pojedynczą jednostkę spadają. A czy wypełniliśmy obowiązki nasze wobec Boga, ojczyzny i społeczeństwa? Odpowiedz kochany bracie! Odpowiedz czyś dzieciom swoim wskazał prawdy wiary i podniósł je do Boga? czyś dążył do uszlachetnienia serc tych niewinnych istot? czyś wskazał im ideały, przez które narody stają się potężnemi? czyś może świecił przykładem jak przez życie uczciwie przejść należy? Zrób obrachunek, wejdź w siebie szczerze, bez uprzedzeń zbadaj i uderz się w piersi.

Niezawsze i nie wszyscy winni są ci, którzy mają imię i majątek, i nie wszyscy są winni ci, co dobry surdut na sobie noszą. Natomiast ty nie jesteś bez winy. A dla czego? Boś poszedł na lep słodkich słówek i frazesów, boś pozwolił wydrzeć sobie wiarę z swej piersi, boś uwierzył w obietnice stworzenia ci raju na ziemi, boś uwierzył w podział majątków, ziemi, domów i fabryk. Wreszcie pozwalasz na wprowadzenie zepsucia w najświętsza instytucyę społeczną, rodzinę, która się rozprzęga i upada moralnie, fizycznie i materyalnie, w końcu pozwoliłeś zdrajcom i renegatom pluć na nasze najdroższe narodowe pamiątki i w szale idziesz ręka w rękę, ramię przy ramieniu z wrogiem chrześcijaństwa, z żydami przeciwko własnej braci, przeciwko samemu sobie. I któż są ci co porwali cię, ujarzmili, i pociągnęli za sobą? Czy to bracia, przyjaciele, czy może krew z krwi i kość z kości robotnicy? czy może znają dzieje twego życia, wiedzą co to praca, przechodzili przez piekło boleści, nędzy i głodu? i wiedzą gdzie źródło złego i umieją na to podać lekarstwo? Nie bracia! oni tego nie czują, nie przechodzili, i zamiast lekarstwa podają ci truciznę. Oni są narzędziem tych, którzy od wieków poprzysięgli nam zagładę.

I dla tego jesteś winien, boś się na nich nie poznał i wierzył im. A wódz, co miota gromy z wysokości swego piedestału, na szlachtę, księży, burżuazyę, uczonych i wszystkich, którzy nie stoją pod jego rozkazami, któż on? który potrafił zyskać zaufanie twoje, choć obcy, choć daleki, choć boi się otrzeć o ciebie. I ty kochany bracie robotniku powierzyłeś mu sprawę swoją, powierzyłeś dolę i przyszłość dzieci swoich, i powierzyłeś samego siebie. I cóż zyskałeś? czerwony sztandar, i z nim czarowną, upajającą melodyę. Umiesz ten hymn na pamięć, i powtarzasz go po sto razy. Cieszysz się, że będziesz sędzią twych tyranów, cieszysz się zamianą roli, lecz po za tem czujesz głód, czujesz, że stajesz się zdrajcą, odszczepieńcem, zbrodniarzem, bo podjąłeś walkę z swoją bracią i stanąłeś po stronie bezprawia. Gdzież ten twój rozum robotniczy praktyczny, że lada agitatorowi pozwolisz sobą kierować i stajesz do walki w obronie ich interesów i w obronie tych, których są narzędziami. I nie widzisz tego, że ci twoi fałszywi przyjaciele, umieją podsycić wzburzone namiętności twoje, i utrzymują w ciągłym rozdrażnieniu. Nie wahają się wprowadzić w wasze szeregi wolną miłość, a z nią upadek, zgniliznę, obrzydzenie i zdziczenie obyczajów. I ty to czujesz, że zaszedłeś daleko, wstydzisz się cofnąć i w cichej niemej rozpaczy, w zalaniu robaka wódką szukasz ratunku.

A jednak jeśli nie pozbawiłeś się godności ludzkiej, jeśli na dnie serca odczuwasz choć odrobinę uczciwości wyssanej z mlekiem twej matki, poznaj niebezpieczeństwo własne i póki czas wróć z drogi. Stało się. Padłeś ofiarą złych ludzi i byłeś narzędziem w rękach zręcznych i chytrych agitatorów. Zrozpaczony chwyciłeś się deski ratunku podsuniętej ci przez zdradnych topielców, lecz miała cię przywieść nie do bezpiecznej przystani, ale na straszne dybiące zgubą odmęty. Lecz jeszcze nie zginąłeś.

Rok stary już minął i z nim przestań tej długiej wędrówki po uludnym, dyszącym zemstą i nienawiścią świecie. Siły cię opuściły. Ciało nagością przez twoje łachmany przegląda, i do wrót raju dojść nie możesz, i ziemi obiecanej, w której do góry brzuchem leżąc, by sama manna do ust ci wpadała, oglądać nie będziesz. Precz więc z fałszem i obłudą! precz z przewrotnemi hasłami i wolną miłością! Zerwij pęta włożone na cię przez sektę żydowską i massonów, rozwiń skrzydła do lotu i wzbij się po nad brudy tego świata i tam w górze u stóp krzyża szukaj szlaków miłości i sprawiedliwości!

Precz z tymi kusicielami ludu, którzy cię doprowadzili do nędzy ostatniej! Przepędź kochany bracie tych wodzów za dziesiątą górę co kazali ci strejkować, wskutek czego zniszczyłeś dorobek kilku lat pracy! Ostatni łach, ostatnią poduszkę, i ostatnią sukienkę swojej żony wyniosłeś do żyda, aby kupić chleba, dziś jesteś jak byłeś głodny, i wyniesiesz swoją godność ludzką do żyda i nie tylko nie będziesz syty, ale staniesz się jego niewolnikiem. Precz więc z nimi! bo nie mają sumienia, czucia i serca. Roznamiętniają lud i robotnika, aby potem trupy zaścielały pola nasze, aby więzienia wypełniły się po brzegi.

Rok nowy się rozpoczął, a z nim poczyna świtać jaśniejsza zorza. Promyki cieplejszego słonka przedzierają się nieznacznie przez samolubstwa opony, i nadchodzi chwila gdzie stanie kontusz szlachcica obok mieszczańskiej kapoty, toga doktorska obok bluzy rzemieślniczej, suknia duchowna obok chłopskiej siermięgi. Połączymy wszystkie siły nasze do wspólnej pracy pod godłem Krzyża, który przetrwał wszystkie burze, i zwyciężył błędy i ciemności, skupimy się pod ojczystymi sztandarami i pod temi hasłami dążyć będziemy do odebrania naszych posterunków. Przez naszą pracę, przez hasła miłości i sprawiedliwości, przez poszanowanie praw, zmusimy tych, którzy mają siłę i prawo za sobą, ażeby się zajęli dolą nasza, aby nam dali więcej chleba, aby nam dali prawa ludzkie.

Wiemy kto jest winien, kto stworzył ten opłakany stan naszego położenia. Czujemy, że ci przybysze ze wschodu, którym daliśmy gościnę pod naszym dachem opasali nas żelazną obręczą jak gad ślizki i zimny, chcąc nas zdusić, lecz nie damy się, ale staniemy przeciw niemu w imię naszych haseł do walki!

Choć rzekomi obrońcy robotniczego ludu idą ręka w rękę z nimi i chcą zbudować drugą wieżę Babel i w tym celu nawołują: proletaryusze całego świata łączcie się! i choć inni rzucają ponętne hasła, zapłacenia długów chłopskich, które około 3-ch miliardów wynoszą, i choć jeszcze inni nawołują do wytworzenia inteligentnego proletaryatu, by tem samem dostarczyć oficerów, którzyby kosztem armii robotniczej pobrzękiwali szablami, wygodnie żyli, i uprawiali w całej pełni sport wolnej miłości, to my skromniejsi odpowiemy: **milionem silnych rąk, i majątkiem mięśni naszych zbudujemy gmach społeczny obok świątyń naszych** w którym gościć będzie praca i oszczędność, zgoda i jedność, miłość i sprawiedliwość, i temi zgotujemy **lepszą przyszłość naszą!**

Nie obiecujemy w szumnych hasłach złotych gór, bo tych dać nie możemy, ale całą siłą, męską energią i żelazną wolą, dążyć będziemy do zrealizowania postulatów programu stronnictwa katol. narodo-

---

zadosyćuczynienie, na jakie ich stało. Rzucili mu broń pod nogi i oświadczyli, że każdy z nich gotów śmierć ponieść z jego ręki. On stał patrząc na nich przez chwilę z szeroką piersią, dyszącą ciężko, i płonącemi oczyma, nareszcie wyciągnął ręce, dwóch za gardło pochwycił i głowę o głowę roztrzaskał. Potem wydał krzyk podobny jękom ranionego zwierza i uciekł; odtąd nikt we wsi twarzy jego nie widział. Dowiedziano się jednak, że zbupował sobie chatę gdzieś u szczytu Czerwonego wzgórza i parękroć widziano go stojącego podle kamienia, lub siedzącego wśród głazów podnóża z twarzą ku wiosce zwróconą. Ci, którzy go ujrzeli z blizka, mówili że się zmienił wielce, że mu broda i włosy wyrosły twarde i długie, a rysy skamieniały, jakoby sam był zabytkiem jakiegoś zastarzałego świata.

I przyszedł czas, gdzie w myśli ludzi stał się nieodłącznym od rudego kamienia, nawet nazwiska jego zapomniano i zwano go poprostu: *Człowiekiem*. I nie dziw, gdyż między nim a głazem było coś istotnie wspólnego — to też unikano obu tych władców wyżyny. Dzieje *Człowieka* z czasu, gdy w wiosce przebywał, stały się wkrótce niemal taką legendą, jak baśń indyjska o starym kamieniu, a w wyobraźni ludzi *Człowiek* był równie starym jak kamień. Kobiety, które słyszały o przebytych przezeń nieszczęściach, marzyły o nim z trwogą, jak niegdyś (a może i teraz jeszcze o rudym kamieniu marzyły; brzemienne drżały przed grozą obojga. Czas płynął i ludzie czuli, że boleść tego męża musi być czemś strasznem, skoro tak żyje sam na sam z kamieniem i z Bogiem.

Nie przeszkadzało im to wszakże kopać złota, pić gorzałkę i popełniać jeden występek po drugim. Pewnego dnia dokonali znów czynu okrutnego a niesprawiedliwego. Schwytali Metysa, gracza zwanego Joli Pierre, do którego mieli złość, że im się ograć nie dał, i uniesieni nagle zapałem obrażonej cnoty, powlekli go na brzeg skały i strącili w dół, myśląc że znajdzie śmierć szybką i że sępy sprawią mu pogrzeb. Ale Piotr się nie zabił, tylko do końca życia zachowa pamiątkę owej strasznej chwili. Odtąd bowiem nie może jednej ręki podnieść powyżej ramienia. Gdy się ocknął z długiej ciemności omdlenia, ujrzał przed sobą istotę potężną i groźną: coś nakształt wygnanego Tytana. Włos jego i broda były jak śnieg białe, oczy bystre a bólu pełne i jakoby w ten ból niezmierny wiecznie wpatrzone. Mąż ten siedział oparłszy głowę na olbrzymiej dłoni. Wzrok miał zwrócony ku wiosce, a choć się zdawał sięgać w dal nieskończoną, przecież nic krom tej garstki chatek nie widział. Piotr, patrząc przez otwarte drzwi lepianki, obok których leżał, czuł, że mu dech w piersi zamiera, gdyż zrazu zdało mu się, iż to co widział było nie żywą istotą, ale nadziemskiem zjawiskiem. Poza owym mężem stał rudy kamień niemniej nieruchomy, niemniej stary jak on; w kamieniu nawet więcej było życia niż w tym skamieniałym człowieku. Był to raczej posąg niż człowiek: pierścienie siwych włosów wiły się jakby wyrzeźbione na jego wyniosłem czole, twarz zdała się jednym wielkim skamieniałym wyrazem cierpienia, na ustach osiadła pogarda i nieskończony gniew.

Słońce zaszło, cienie zakryły ziemię. Piotr wyciągnął rękę i jął pić wodę i jeść czarny chleb, które obok niego leżały. Domyślał się, iż upadając, musiał zaczepić o gałęzie drzew lub wystające głazy, co go uratowało od śmierci, i że następnie został tu przyniesiony. Gdy tak leżąc rozmyślał, człowiek ów, którego pod kamieniem był widział, wszedł do chaty, schylając u wrót swą olbrzymią postać; krzesiwem zapalił knot zanurzony w czarce drewnianej, pełnej niedźwiedziego tłuszczu, poczem ukląkłszy, podniósł światło do góry i jął się w rannego wpatrywać. A Piotr, który się nigdy nikogo nie uląkł, dziś zadrżał pod jego wzrokiem. Gdy jednak spostrzegł, że Piotr odzyskał przytomność, wyraz nowy, jakoby odcień dobroci oblekł jego oblicze, skinął poważnie głową, ale nie przemówił. Potem coś, jakoby wielki dreszcz bólu wstrząsnęło jego ciałem; postawił lampkę na ziemi i począł silnemi swemi rękami lekko poprawiać bandaże, owijające skaleczone członki młodzieńca. Wiedy dopiero ten ostatni przemówił:

— Tyżeś jest, którego zowią Człowiekiem?

Nieznajomy pochylił skroń potwierdzająco.

— Wyratowałoś mnie z rąk tych szatanów?

Wyraz niewymownej nienawiści zabłysł w oczach starca; za całą odpowiedź uścisnął dłoń towarzysza, a choć uścisk ten miał być łagodnym, przecież Piotr skurczył usta od bólu. Lampka poczęła pryskać i mdła woń czadu rozeszła się po izbie. Starzec przyniósł skórę niedźwiedzią i otulił nią chorego, była to bowiem jesień i już noce chłodne nastały. Piotr, który po długich dniach choroby raz pierwszy spędził był godzinę przytomnie i zdrowo, wkrótce zasnął spokojnie. Jak długo spał, nie wie

wego. Zapomnieni przez długie czasy, tembardziej domagamy się, aby robotnik za swą pracę otrzymywał odpowiednie warunkom znośnego życia wynagrodzenie, aby miał dach nad sobą i w ciężkiej starości by nie potrzebował wyciągać ręki po jałmużnę, ale za pracę całego życia zasłużony otrzymał spoczynek, gdzieby skołataną głowę spokojną o resztę chwil swego żywota, mógł położyć.

A. Stróżyński.

Nasza reprezentacya w Parlamencie.

I

Krytykować dla krytyki, dla reklamy, dla popularności, to rzecz nie nasza. Tego rodzaju krytyka, to business, to afisz rozlepiany po rogach ulic, to nie surowy i sprawiedliwy sędzia, lecz pusty i niepłodny deklamator. Choćby taka krytyka była dowcipną a nawet miejscami słuszną, nie wyda ona nigdy pomyślnych rezultatów, bo podszywając się tylko pod płaszczyk szczerości, nosi już w sobie zarodki rozkładu. Tego rodzaju krytyki nie uprawialiśmy nigdy i nadal starannie wystrzegać się jej będziemy.

Ale jak dobry gospodarz dogląda swego majątku i pilnie prowadzi rachunki, tak i my w dziedzinie polityki rozpatrzeć się musimy w sytuacyi, porównać nasz stan czynny z biernym i z tego obrachunku wysnuć pewne wnioski na bliską i dalszą przyszłość. Musimy się przekonać, o ileśmy postąpili, sprawdzić, co już mamy, czego nam jeszcze potrzeba, i jakie są szanse zrealizowania naszych pragnień. Trzeba nam się przyglądnąć bliżej ludziom, którym powierzyliśmy naszą przyszłość, skonstatować, czy i z jakim skutkiem pracowali, a jeśli wynik dochodzenia będzie ujemny, zapytać się: dlaczego? — Istniejemy politycznie, bierzemy udział w rządach, w imieniu naszego kraju zasiadają w parlamencie członkowie Koła polskiego, klubu chrześcijańsko-ludowego, klubu socyalno-demokratycznego i innych garstek — lecz czy byt nasz jest zapewniony, czy możemy się spodziewać spełnienia naszych żądań? — Już to, że nasza reprezentacya jest tak rozstrzelona i rozbita, nie dobrze każe wróżyć o przyszłości, ale na razie nie o tem zamierzamy mówić. Obecnie pragniemy tylko zastanowić się nad temi wszystkiemi grupami, poddać analizie ich działalność i odpowiedzieć sobie jasno na pytanie: Co każda z nich dla nas zrobiła? Jakie realne korzyści przyniosła krajowi ich praca?

Zacznijmy od Koła polskiego.

Jesteśmy szczerymi zwolennikami bezwarunkowej solidarności naszych posłów we Wiedniu, bo tylko siłą, tylko liczbą swych głosów mogą wywalczyć ustępstwa dla kraju na naszych wrogach i niepewnych a chwiejnych sprzymierzeńcach; jesteśmy jednem słowem za zszeregowaniem wszystkich posłów w Kole polskiem, bo w Wiedniu nie zastępujemy interesów tej lub owej warstwy, miejscowości czy okolicy, lecz całego kraju, nawet całego narodu, który tylko u nas ma swobodę słowa i możność politycznej pracy. Wszelkie rozbijanie tej łączności, wszelkie systematyczne podkopywanie powagi Koła polskiego w kraju i w Wiedniu uważamy za czyn niepatryotyczny, za narodową krzywdę, która ponadto jeszcze jest grubym błędem politycznym, gdyż odbierając znaczenie Kołu, nie nadaje go bynajmniej drobnym grupkom, potworzonym z jego odłamów.

Lecz właśnie stojąc tak twardo i stanowczo po stronie Koła, możemy z tem większem uprawnieniem zapytać się, czy ono wypełniło swe obowiązki, możemy się zapytać, co Koło polskie zrobiło dla kraju i narodu. Na to dostajemy dwie odpowiedzi równie krótkie i dobitne, lecz właśnie dla swej stanowczości i bezwzględności równie podejrzane i wątpliwe. Koło polskie wszystko zrobiło, powiadają jego obrońcy — niczego nie przeprowadziło, twierdzą krytycy. Wszak nazywają nas rozpieszczonem dzieckiem rządu, wszak posiadamy warunki swobodnego rozwoju życia narodowego, język polski jest wykładowym w naszych szkołach i urzędowym w sądownictwie i administracyi — mamy osobnego ministra dla Galicyi, który ma obowiązek bronić naszych interesów w Radzie Korony — wszak mamy autonomię, to znaczy, że rządzim się sami. Koło pracuje, jemu zawdzięczamy wszystko, ono sprawiło, że mamy bezpieczny dach w kraju. Prawda, odpowiadają pesymiści ze *Słowem Polskiem* na czele, ale wszystko to prawie otrzymaliśmy w drodze cesarskich rozporządzeń, nie w drodze ustawy, a winno temu Koło polskie. Mamy autonomię, lecz rządzi nami klika skrajno-konserwatywna, której interesy w wielu punktach krzyżują się z interesami ludu, a taka autonomia niewiele lepsza od despotyzmu Metternicha. Mamy dach nad głową, ale pod tym dachem setkami mrzemy z głodu, a resztki naszego dobytku wyciąga i pochłania nienasycony Moloch fiskalizmu. Upada nasze rolnictwo, przemysł rękodzielniczy znajduje się w stanie agonii, powodzie, pożary i epidemie niszczą nas do szczętu, a zielone mundury dławią swymi podatkami. O jak słodko, miluchno jest pod tym dachem! Cóż więcz robiło Koło? Ratowało sytuacyę państwa, powiada *Słowo Polskie*, ale niestety nie ratowało sytuacyi kraju, nie ratowało sytuacyi narodu. Bo cóż mamy obecnie narodowego w kraju? — Mamy narodowe programy, rozdrabniające nas na atomy; narodowe partye zwalczające się z tygrysią zajadłością; narodowych żydów obdzierających nas ze skóry, narodową nędzę i narodową apatję. Oto rezultat pracy Koła polskiego. Takie zdania słyszymy z jednej i z drugiej strony, lecz żadne z nich pociągnąć nas za sobą nie może, bo żadne z nich nie daje prawdziwego obrazu, żadne nie jest bezstronnem. Nasze narodowe prawa opierają się wprawdzie na cesarskich rozporządzeniach, lecz nie uzyskalibyśmy ich nigdy, gdyby nie potęga parlamentarna Koła polskiego, dowodem zajadłość z jaką zwalczają Niemcy podobne, a nawet mniej doniosłe rozporządzenia wydane dla Czech i Moraw. Nasza autonomia pozostawia wiele, bardzo wiele do życzenia, lecz bez samorządu nigdybyśmy nie dostrzegli tego znacznego postępu, który nas uderzył na wystawie lwowskiej. Gniecie nas nędza, gniotą nas ciężary publiczne, lecz czemże to jest w porównaniu z bezpieczeństwem osobistem i narodowem, które znowu zawdzięczamy zdrowej polityce naszej reprezentacyi. Koło więc pracowało i zrobiło wiele, a jednak nie możemy się zgodzić na poglądy optymistów, na twierdzenie, że zrobiono już wszystko.'

Te zdobycze, które uznajemy chętnie i szczerze, należą do lat ubiegłych; w ostatnich czasach niczem podobnem poszczycić się nie możemy, a właśnie *w samem uznaniu tych zdobyczy leży największy zarzut, jaki możemy zrobić obecnemu Kołu polskiemu, bo jeżeli się mogło osiągnąć tyle dawniej, to można było coś zyskać i dzisiaj, a jeżeliśmy nic nie dostali, to widocznie Koło pracowało źle albo nie pracowało wcale.* Trzydzieści lat upłynęło od chwili, gdy rozporządzeniami cesarskiemi z r. 1868 zapewniono nam używanie języka polskiego w szkole i urzędzie, a dotąd jeszcze nie zastosowano ich w prokuratoryi państwa, na poczcie, w zarządach kolejowych i w żandarmeryi. Przechodzimy straszną walkę o rozporządzenia językowe czeskie, a dotąd jeszcze gimnazyum cieszyńskie żebrze po gościnnych

---

dział; zbudził go jakiś dźwięk metaliczny, dolatujący go wśród nocnej ciszy. Miły był to dźwięk stali uderzającej o granit, odgłos pracy samotnego kamieniarza wśród głazów. Dźwięk dochodził coraz to silniej, wyraźniej; czyżby Tytan, co go od śmierci ocalił, jaki posąg w skale wykuwał? Uderzenia padały rytmicznie, jak pulsacye igły w zegarze. Chory dziwił się i nasłuchiwał czas długi, a potem usnął na nowo, ale i przez sen czuł drganie stalowego dźwięku.

Zrana starzec przyszedł, opatrzył mu rany, przystawił jadło w milczeniu i poszedł. Nie było go przez dzień cały, dopiero kiedy wieczór nadchodził, wrócił na miejsce, kędy dnia poprzedniego był siedział, i znów patrzał przed siebie nieruchomy jak wezora. I znowu Piotr zbudził się słysząc w ciemności ów dźwięk metaliczny, i to samo powtarzało się w każdą noc. Nareszcie siły poczęły mu wracać i mógł, choć z trudnością, utrzymać się na nogach. Jednej nocy wysunął się z chaty i cicho, powoli powlókł się w stronę, z której go dźwięk dochodził. Ujrzał C z ł o w i e k a, klęczącego przy samym kamieniu, ujrzał młot wznoszący się i opadający na dłuto, a dłuto było utkwione w cienkiej podstawie kamienia. Młot wznosił się i opadał regularnie, z akuratnością straszliwą. Piotr zwrócił się i spojrzał w dół na wioskę, której światła płonęły jak rój świętojańskich robaczków. Potem spojrzał znowu na kamień i na C z ł o w i e k a.

Wtedy nagle zrozumiał. C z ł o w i e k przekuwał podwalinę kamienia, a raczej odciosywał po jednej stronie brzeg zagłębienia, na którem głaz się wspierał. Jeszcze, jeszcze trochę, a wystarczy popełnięcie dłonią, przelot orła lub powiew północnego wiatru, i olbrzymia masa wytrącona ze swej równowagi wiekowej, runie na zbrodniczą, w bezpieczeństwie swojem zasypiającą osadę.

Na tę myśl zdrętwiał. A więc ten człowiek tyle lat pieścił swą zemstę, aż winowajcy zapomnieli o nim i o niej. W pierwszych czasach siedział samotny i patrzał w wioskę, nienawidził i dumał groźnie nad czynem, który był postanowił. Następnie począł pracować, zrazu potrosze, potem coraz pilniej, a w końcu, widząc nową ich zbrodni ofiarę, kuł już namiętnie, z zapałem i siłą mszczącego się olbrzyma. Piotr sam w życiu swojem dopuścił się niejednego szpetnego czynu i niejeden raz słodkiej pokosztował zemsty, ale coś podobnego nie byłoby się nigdy w mózgu jego zrodziło. W tej wiosce żyli ludzie, którzy cisnęli go na śmierć jak wściekłego psa; teraz przedstawiała się dlań najcudniejsza sposobność odwetu. Nie potrzebował ręki przyłożyć do dzieła — tylko używać i patrzeć.

A jednak owi ludzie, kręcący się około świateł u dołu, czyliż go wszyscy skrzywdzili? Pomyślał, że było ich kilkoro — przeważnie kobiet — którzy nie byliby się nad trupem jego znęcali z obelgą i wrzaskiem. Większa część byłaby się znęcała tak, jak się już znęcała nad żywym, nie dla tego, że był zbrodniarzem, ale że natura ludzka łaknie czasami ofiary i krwi; starożytne, dzikie instynkta w człowieku żyją i od czasu do czasu się budzą. Wspomniał, że każdy niemal z tych ludzi mniej lub więcej przyłożył rękę do nieszczęść mszczącego się dziś człowieka. Owa garstka uczciwych kobiet miała niegodziwych mężów; kilku wyglądnie uczciwych mężów miało jędze za żony; osada Czerwonego wzgórza była brzydkiem gniazdem w całości.

Myśli różne biegały mu po głowie: to wątpliwości, to dzikiej zawiści, to znów ironii. A młot wciąż uderzał o stal.

Spojrzał znowu na światła osady. Wtedy nagle przyszły mu na myśl słowa świętego męża, który w zamierzchłej przeszłości usiłował zbawić miasto przeznaczone na zgubę. nie był sam pewien, czy chce ratować tę wioskę, ale poczuł jakąś dziwną analogię pomiędzy faktem z Pisma św., a tem, co mu teraz wypadało uczynić.

Głos jego zabrzmiał jasno wśród nocy:

— Będę mówił do Pana i Boga mojego raz jeszcze. Azali znajdzie się tam dziesięciu sprawiedliwych...

Młot zawisł w powietrzu. I było cicho, tylko świerki z lekka szumiały. Potem przez usta starca od mowy odwykłe, dobyły się z trudem wyrazy:

— Nie przebaczę im dla dziesięciu.

I znów nastała cisza, wśród której Piotr uczuł, że słabnie; lecz głos odezwał się znowu: J u ż!

W tej chwili księżyc wychylił się z poza chmur. C z ł o w i e k stał tuż za kamieniem i rękę ku niemu podnosił. Trwało tak parę sekund, które się zdały latami. Wiatr powiał od zachodu, księżyc zanurzył się w cień, a wtedy nakształt potworu kamień zeskoczył z podstawy i z hukiem gromu, porywając za sobą pomniejsze głazy, jął z przerażającą szybkością toczyć się w dół.

W dolinie światła pogasły.

Księżyc ukazał się znowu i Piotr ujrzał starca stojącego na miejscu, gdzie przed chwilą był kamień; chciał się rzucić ku niemu, lecz zanim doszedł, już miejsce było puste: C z ł o w i e k zniknął na zawsze.

podwojach pozaśląskiej braci, nie mogąc się doczekać upaństwowienia; 41.000 polskiego ludu w Ostrawie nie posiada praw swego języka ani w gminie, ani w szkole, ani w kościele; Rada szkolna w Frysztacie zakazuje bezwarunkowo czytania Kochanowskiego, Hoffmanowej, Słowackiego i Mickiewicza, a butni fabrykanci niemieccy w Białej bojkotują polskich robotników na polskiej ziemi, za to, że się ośmielają kształcić swe dzieci w ojczystym języku. Tymczasem Koło polskie spogląda na to wszystko z wyżyn wielkiej, ogólno-państwowej polityki. Miliony uchwala się na kanały, koleje i drogi wodne dla Wiednia Czech i Tyrolu, a u nas 600.000 dzieci jest bez nauki, 2.000 klas pustych, 2.600 gmin bez szkół i przeszło trzy miliony analfabetów. Kraj nasz ma stosunkowo najmniej dróg rządowych, najmniej kolei, najmniej uregulowanych rzek i komunikacyj wodnych, najmniej szkół średnich i przemysłowych; ludność nie ma się czem wyżywić — a Koło polskie nie ma innej troski prócz ratowania sytuacyi.

Gdzież leżą powody tak smutnych wyników? Szukać ich należy w ogólnej apatyi i inercyi, która ogarnęła Koło polskie, jak i całe społeczeństwo. Nasze Koło to klub dyplomatów, żyjących tylko taktyką, wytężających wszystkie swe siły i zdolności na użytek rządu, w którym widzi jedyny ratunek dla narodu, no i dla... siebie. Trzeba przyznać, że rząd wywdzięcza się także dyplomatycznie. Rząd umie wyzyskiwać sentymentalnych marzycieli, którzy mu służą »z przychylności«; ozdabia ich tytułami, orderami i brylantami, a krajowi podaje rząd z wdzięczności cienką, przejrzystą, dyplomatyczną zupkę, w której *apparent rari nantes in gurgite vasto*. Rząd umie wyzyskać naiwnych, którzy boją się wykroczyć przeciw przyzwoitości i grozić mu opozycyą albo biernem stanowiskiem; obiecuje im dużo ładnych cacek na 30 lutego, a naiwni dlań pracują. Wytężyli swe siły i rzeczywiście przeprowadzili wiele ulg ogólno-państwowych, które rządowi zjednały sympatyę, konające gabinety postawili na nogi, początkującym służyli dobrą radą, wogóle byli zawsze i są doświadczonymi doradcami każdorazowego rządu. I cóż otrzymali dla kraju za to wszystko? Akademię umiejętności i teatr — odpowiada prezes Jaworski!

Dobrą jest Akademia, pożytecznym teatr, ale to drobnostki wobec ogromu naszych żądań. Nasz lud nie pojmie tak znakomitych zdobyczy, nie oceni należycie działalności Akademii, nie jest wrażliwym na przybytek Muz. Koło zaimponowałoby krajowi, gdyby dokonało jakiegoś dzieła korzystnego dla wszystkich warstw. Gdyby tak Koło pomyślało czasami o święceniu niedzieli, o regulacyi godzin pracy, o przymusowem ubezpieczeniu, o zniżeniu cen soli, o szkołach wybitnie narodowych i katolickich i tylu, tylu innych rzeczach! Ot i monopol wódczany wyżej by podniósł poziom oświaty szerszych warstw, niż Akademia ze wszystkimi ciałami uczonemi razem.

Gdy tylko przeprowadzimy ugodę, rząd niczego nam nie odmówi, zapewniają nas. Dziwi nas naiwność p. prezesa Koła, z jaką wierzy w spełnienie naszych postulatów; więcej jednak zdziwiłaby nas naiwność rządu, który, mając w ręku ugodę i budżet, myślałby o spełnieniu obietnic danych na lep naiwnym. Tego rodzaju dobroduszności nie możemy przypisać hr. Thunowi.

Interes państwa, mówi p. Kozłowski, zmusza nas do głosowania za ugodą, interes zaś krajowy nie zabrania nam tego. — Co do tego ostatniego zapatrywania pozwolimy sobie na nieco sceptycyzmu. Ugoda taka, jak ją sformułowano, jest naszem zdaniem powolną trucizną dla krajów przedlitawskich. Austrya, chcąc utrzymać się na mocarstwowem swem stanowisku, potrzebuje silnej armii i ciągłego postępu w uzbrojeniu. Tymczasem Węgry, którym militaryzm jest wstrętny, a które pragną jedynie rozwoju ekonomicznego, pod tym jedynie warunkiem poniosą wydatki na wspólną armię, jeśli we formie koncesyj handlowo-cłowych zwróci się im wszystko to, co wydadzą na armię. Tym więc sposobem Cislitawia dźwigać będzie cały ciężar militaryzmu dopóty, dopóki Węgry nie narzucą jej swej hegemonii i punktu ciężkości państwa nie przesuną do Budapesztu. Ugoda więc jest już z tego jednego względu ruiną Austryi i Galicyi. Jeśli jednak ugoda musi być na razie zawartą, to należy wyciągnąć z niej wszelkie możliwe korzyści, a dopóki mamy atuty w ręku, przyjdzie nam to o wiele łatwiej, niż gdy rząd je trzymać będzie.

Dlaczegoż Koło nie idzie za wzorem posłów czeskich, którzy na 30 postulatów uzyskali 26?

O Czechach myśleć musiało każde ministerstwo, umieli oni wyzyskać po lichwiarsku każdą kryzys gabinetową, dobrze sobie kazali płacić za usługi. Czechy są najlepszym dowodem, że w polityce najkorzystniejszym jest egoizm i rachunek; że wyzyskać rząd, podyktować mu warunki, pod którymi będzie się go popierać, to jedyny sposób ratowania sytuacyi *kraju i narodu*. Koło powinno sobie tę zasadę dobrze zapamiętać i pokazać, że jak wobec Niemców, tak i wobec Czechów nie jesteśmy mniej wartościowym narodem.

Lecz bądźmy sprawiedliwi. Nie cała wina, nawet nie największa jej część ciąży na Kole polskiem; zawiniło całe społeczeństwo, więcej może niż jego wybrańcy. W Czechach słyszy rząd co chwila głos narodu, jakby pomruk wzburzonego morza, widzi, że za klubem czeskim stoi naród cały, jak długo godzi się na jego politykę, że najwpływowszych posłów zmiata jakby trąba powietrzna narodowego gniewu, skoro tylko zejdą z właściwej drogi. Tam ocenia się działalność użyteczną, potępia szkodliwą, tam głos deputowanych ma niezmierną wobec rządu wagę, bo za posłami stoi naród, który patrzy i czuwa, który wcale niedwuznacznie objawia swą wolę. U nas niestety inaczej, gorzej, znacznie gorzej. Poseł pracowity czy leniwy, użyteczny czy szkodliwy, zarówno jest traktowany przez naród; my nie popieramy naszych posłów, nie zwracamy ich uwagi na nasze potrzeby, nie pilnujemy ich działalności, nie umiemy oceniać zasług, karać niedbalstwa, oni są przeto słabi wobec drugich, nie mogąc wskazać na miliony stojące za nimi; są słabi wobec siebie, bo nie mogą się spodziewać oceny swych trudów. Są wybrane jednostki, które pracują dla własnego zadowolenia, z poczucia obowiązku, lecz to są wyjątki, — oby ich było jak najwięcej — na które w zwyczajnym biegu życia rachować nie możemy. Więc społeczeństwo winno nagradzać uznaniem, karać odrzuceniem, a gdzie tego nie czyni, tam nie może zwalić całej winy na posłów, tam najznaczniejszą jej część musi ponosić samo.

Oto i teraz dwa dowody na to mamy do zaznaczenia. Rząd pruski wydala nas z prastarej dziedziny ojców naszych, nie dopuszcza naszych uczonych do stolicy Wielkopolski, prowadzi politykę eksterminacyjną wobec żywiołu polskiego. Dotąd nigdy rząd austryacki nie miał odwagi bronić swych obywateli, aż obecnie w odpowiedzi na interpelacyę Koła, zajmuje hr. Thun stanowisko pełne godności, zamieszcza w niej całe zdania, wyjęte z manifestu naszych przyrodników, nie dopuszczonych do Poznania, obiecuje wywzajemnić się za wydalania Polaków, wydalaniem obywateli pruskich z granic państwa austryackiego. W Niemczech wywołuje to zdumienie i oburzenie — pierwszy raz austryacki minister poważył się wziąść w obronę Słowian wobec brutalności pruskiej — u nas przeszło to bez wrażenia, choć jak powiedział jeden z posłów czeskich, Kołu należały się setki depesz gratulacyjnych.

Druga rzecz jeszcze ważniejsza. Germanizacya Szląska, przeprowadzana systematycznie od niepamiętnych czasów, doszła do tego, że posłowie polscy i czescy musieli opuścić sejm śląski. I oto dostajemy rozporządzenie, wprowadzające nasz język do rządów, dostajemy uznanie naszych praw tam, gdzie o to było najtrudniej, bo Śląsk, to siedziba najbogatszych może, a w każdym razie najbardziej zajadłych Teutonów. A w kraju znowu cicho, przyjmuje się to do wiadomości i na tem koniec, ani słowa uznania, ani jeden wyraz zadowolenia.

Tak dalej być nie może. Nie możemy zostawiać sobie jedynie prawa krytyki, a ciężar pracy przerzucać na innych, *my musimy współdziałać z naszymi reprezentantami zachętą, uznaniem, organizacyą i krytyką*. Mniej dyplomacyi, panowie z Koła polskiego, mniej wstydliwości wobec rządu, a więcej energii i ciętości; mniej egoizmu osobistego i klasowego, a więcej narodowego, więcej zajęcia się sprawami ludu wiejskiego i miejskiego. Lecz i my wszyscy, którzy stanowimy jeden naród i jedno społeczeństwo, uderzmy się w piersi i przyznajmy, żeśmy zbłądzili. Bądźmy pochopniejsi do czynu, pozbędźmy się apatyi, pracujmy dodatnio, nie stańmy na stanowisku p. Stapińskiego, który wyraźnie i otwarcie przyznał w Izbie, że sprzeciwia się wszystkim, choćby najlepszym reformom, jeżeli tylko wyjdą od Koła, dlatego, że od Koła wychodzą. Nasz lud jest inny, skłonniejszy do dobrego niż do złego, niema w nim zdemoralizowania i gangreny, on będzie uwielbiał swą reprezentacyę, skoro dojrzy w niej zrozumienie i obronę swych interesów i sprężystą pracę. Takie Koło uważałby on za swe bóstwo, a jeszcze pora po temu, aby do tego doszło. Pracujmy w kraju i żądajmy pracy od naszych posłów w Wiedniu, a może prędko czas nadejdzie, w którym w myśl największego naszego wieszcza zawołamy z dumą: Naród z posłami, posłowie z narodem!

Józef Mosch.

Wobec ruchu ludowego.

Ruch ludowy w Galicyi jest objawem bardzo pożądanym i zasadniczo chwalebnym; jest też pozytywnym ruchem politycznym i społecznym, i to do tego stopnia, że od czasu wiekopomnej Konstytucyi Trzeciego Maja nie było wydarzenia pod równie pomyślnemi dla ojczyzny wróżbami. Ruch ten jest prostym skutkiem rozbudzonej oświaty; wytworzył go przedewszystkiem Sejm, uchwalając podatki na zakładanie szkół, i doprowadził szczęśliwie do tego, że dzisiaj sam lud pobudza już sejmujących posłów do większej energii. Ruch ludowy jest połową ruchu narodowego, tą połową, której nam brakowało niestety przez tyle pokoleń. Ma on swoje usterki, jak każda rzecz ludzka i jak każda sprawa publiczna, ma i on swoich skoczków, szachrajów, handelesów, ale to są wszystko przemijające drobnostki, a trwałym skutkiem pozostanie *wzmożenie imienia polskiego*.

Gdy nasz wieśniak rozbudził się do politycznego życia, zaczęło się zaraz koło niego kręcić grono opiekunów i doradców, rozpoczęło się zakładanie specyalnych stronnictw «ludowych». Poszedł chłopski kożuch na polityczną licytacyę i już za samo pożyczenie tego kożucha obiecuje się chłopu, że będzie sobie chodzić w królewskich gronostajach!

Cóż ludowi wiejskiemu obiecać ma stronnictwo katolicko-narodowe? Możnaby licytacyę prowadzić jeszcze dalej, wszak to tak łatwo! Możnaby np. obiecać, że lud sam sobie wybierać będzie starostów, a w Sejmie zastrzeże się dla niego dwie trzecie części krzeseł; możnaby wyjechać z wnioskiem, by państwo nietylko popłaciło wszystkie długi chłopskie, ale żeby gospodarstwa niżej 10 morgów raz na zawsze wolne były od wszelkich podatków. I dużo, dużo takich rzeczy dałoby się jeszcze wymyśleć, zakasowalibyśmy odrazu wszystkich innych; ale cóż, nie pozwala nam sumienie polityczne na *okpiwanie ludu*. Do licytacyi o chłopski kożuch nie stajemy całkiem. Z naszego stronnictwa wykluczyć chcemy kłamstwa, a obiecanki polityczne, wymyślane dla zbierania popularności, uważamy za oszustwo. Stronnictwo katolicko-narodowe musi pozostać czyste!

Ludem zajmować się będziemy dlatego, że jest częścią narodu, ale nie dlatego, że można go podburzać przeciwko innym.

Bardzo być może, że lud, przyzwyczajony do polityki tandetnej agitatorskich mówek, przywykły do obiecywania złotych gór, nie będzie się zrazu licznie do nas garnąć. My dla popularności nie możemy odstąpić od tego, co uważamy za prawdziwe i dla narodu pożyteczne. My sobie możemy poczekać i byleśmy tylko robili sumiennie, co do nas należy, byleśmy tylko czuwali prawdziwie nad dobrem ludu, obejdziemy się bez krzykactw. Choćby nie wiedzieć jak na nas się rzucano, lud w końcu i tak do nas przystanie! Krzykacze ochrypną, gadułom politycznym zabraknie konceptu

minie jeden i drugi peryod wyborczy i lud *sam* spostrzeże, że narzucający mu się opiekunowie byli albo szarlatanami albo nieukami, którzy choćby chcieli, nic nie potrafią. Nam wystarczy, żeby lud wiedział o naszem stronnictwie, żeby się przypatrywał naszej robocie, a w końcu sam tłumnie do nas przechodzić zacznie. Starajmy się tylko zgromadzić w stronnictwie jak najwięcej *znawców* spraw włościańskich, a karyerowiczów trzymajmy krótko, żeby nie skubali naszego kożucha. Róbmy po cichu, ale *róbmy ciągle*, a lud polski oświecony oświadczy się za nami.

Bądźmy w polityce krajowej *żywiołem moralnym* i za nic w świecie nie chwytajmy się kruczków politycznych i nie wyzyskujmy słabych stron ludu. Niech sobie inni spekulują na chłopską ciemnotę, my liczmy na chłopski rozum i odzywajmy się tylko do szlachetnych stron wieśniaczej natury.

W programie naszym powiedziano, że sprawami ludowemi mamy się zajmować przedewszystkiem dlatego, że dotychczas były one zaniedbywane. Trzymajmy się tego ostro wobec warstw tak zwanych wyższych i brońmy interesów ludowych nie tylko gorliwie, ale nawet *zażarcie*, chociażby nas miano nazwać rewolucyonistami. Ale z drugiej strony protestujmy przeciw mąceniu wieśniaczych głów, przeciw demoralizowaniu ludu i robieniu z niego straszydła na inne warstwy. Pomni, że naszem hasłem *łączność*, wołajmy ciągle głośno, że lud może dojść do lepszej doli tylko w narodowej łączności z innemi częściami narodu i nie odstąpmy od tego, choćby nas czerwoni krzykacze nazywali stańczykami! I w górę i w dół bądźmy jednacy, nie dajmy się zmylić i zepchnąć z naszych torów nikomu, ani hrabiom, ani fornalom. I dla jednych i dla drugich mamy *tensam* program polityczny i tejsamej używać będziemy taktyki.

W Galicyi niema do dziś dnia ani jednego stronnictwa prawdziwie politycznego. Spodziewamy się też, że się w każdym razie przyczynimy do politycznego wykształcenia społeczeństwa, skoro w polityce przestaniemy się pytać, gdzie się kto rodził i czem się trudni, ale zapytamy każdego poprostu: co myśli o naszym programie? — Wiemy zapewno, że siermięg nam nie zabraknie, bo ich własny interes sprowadzi je w nasze szeregi.

Tych włościan, którzy już do stronnictwa naszego należą, upraszamy usilnie, ażeby na zapytania swych braci o nas, odpowiadali krótko: patrzcie na nich, co robią, a sami najlepiej osądzicie. Prosimy, żeby nas nie sądzić z cudzej gadaniny, ale z własnego przeświadczenia. Upraszamy o rozszerzanie naszego programu, żeby się znalazł w każdej wiosce; będziemy go w »Łączności« obszernie objaśniać w szeregu artykułów, a równocześnie rozpoczniemy też praktyczną działalność w sprawach włościańskich. Komu się podoba i nasz program i nasza działalność, ten zgłosi przystąpienie do stronnictwa.

W następnym numerze napiszemy, jak mamy zamiar zachowywać się wobec innych pism ludowych.

Dr. Feliks Koneczny.

LUŹNE UWAGI O WYBORACH W NOWYM TARGU.

Co głowa, to rozum. Każdy dzisiaj gdzieindziej szuka przyczyny upadku kandydatury ks. Albina, każdy wymyśla na tę lub ową chimerę, którą jego bujna fantazya stworzyła. »Słowo polskie« jest sobie np. tego zdania, że ks. Albin dlatego upadł, że go popierał (?!) Komitet centralny, do którego lud nasz niema zaufania i z całej sprawy dziennik ten wysnuwa wniosek, że czas już znieść tę przestarzałą i zużytą formę, która racyę bytu straciła. — Czy jednak kto szukał źródła i rozpatrzył się w antecedencyach zaszłych faktów, pozwalamy sobie wątpić. Ot deklamuje się to i owo, zapełnia się wygodnie szpalty nic nie znaczącymi i tendencyjnie wyśrubowanymi frazesami, — byle interes szedł. I interes rzeczywiście idzie. — Redakcya nasza informowała się w sprawie wyborów nowotarskich w sferach najkompetentniejszych i zestawiwszy nasze informacye, doszliśmy do innych rezultatów niż dzienniki galicyjskie. Niestety, rezultaty te są stokroć smutniejsze niżby nawet przypuszczać można. Wyniki naszych badań są tego rodzaju, że na pierwszy rzut oka zdawałoby się, iż należy je przemilczeć, a jednak zmusza nas do ich ogłoszenia obawa, by te czynniki, które tak fatalną odegrały rolę przy ostatnich wyborach, nie zechciały powtórnie wystąpić na arenę wyborczą i to samo napowrót zająć stanowisko. Przykro nam i boleśnie, że musimy wystąpić przeciw kilku osobom, które piastują świętą godność kapłańską, dla których nasze pismo czuło dotychczas tylko najgłębszą cześć i uszanowanie. Kto jednak zbłądzi i działa na szkodę Kościoła i narodu, ten musi być na to przygotowanym, że ludzie dobrej woli za dobre mu tego nie poczytają. Podpisany oświadcza, że całą odpowiedzialność za tych parę słów przyjmuje na siebie.

Jedyną przyczyną upadku kandydatury ks. Albina była wpływowa, acz drobna grupa duchowieństwa miejscowego, która osobistą niechęcią powodowana, a z drugiej strony nie oceniając należycie całej doniosłości sprawy, od samego początku, choć nie jawnie, sprzeciwiała się tejże kandydaturze, wysuwając na pierwszy plan Dra Bednarskiego. Nadużywając swego wszechwładnego wpływu, przeciągnęli ci niedobrzy politycy na stronę Dra Bednarskiego najprzychylniejszych ks. Albinowi księży, którzy całem sercem pragnęli wysłać do Sejmu swego reprezentanta. Nazwali publicznie ks. Albina »ambitnym«, a duchowieństwo przestraszyło się tego epitetu i stanęło w jednej falandze przeciw swemu bratu. Kto wie, jaki wpływ posiada duchowieństwo w tamtych okolicach, kto widział, jak się krzątało koło wyborów, ten łatwo zrozumie, że ks. Albin mógł bardzo dobrze nie dostać ani jednego głosu. — To najważniejszy powód.

Drugi jest natury równie drażliwej. — Ks. Albin nieuczciwych środków agitacyi chwytać się nie chciał i nie mógł, nie ofiarował też nikomu nawet marnego papierosa w tym celu, by go sobie skaptować. Tymczasem przeciwna strona szafowała wiktuałami, wódką i kiełbasą; — w obecności samego proboszcza szczawnickiego odbierała mu tymi wstrętnymi środkami wyborców, którzy poprzednio byli zwolennikami zacnego kapłana. — Cóż miał robić ks. Albin? Czy walczyć tą samą bronią, jednać sobie wyborców wbrew woli miejscowego duchowieństwa, buntować ich przeciw własnym pasterzom? To niegodne kapłana. Patrzył więc spokojnie, lecz ze smutkiem na to, co się wkoło niego działo.

Ogłoszono nawet na sali, że ks. Albin zrezygnował, chociaż kandydat nikogo do tego nie upoważnił, lecz owszem, stanowczo oświadczył: »że nie cofnie się, aby świat wiedział, dlaczego upadł«.

Na wyborców wywierano taką presyę, że *niektórzy na złość głosy oddawali Szafarskiemu*. Lud *gorszył się* do tego stopnia, że niektórzy wyborcy trzęsąc się z oburzenia nie brali udziału w głosowaniu. Charakterystycznym jest następujący fakt: Na rynku zaczepia chłop jednego *z takich* zwolenników dr. Bednarskiego i pyta obcesowo, »ile wziął za to, że głosował przeciw księdzu?« — Proszę się liczyć ze słowami, — odpowiada tamten. — A chłop na to: I z pieniądzmi! — Jakie to rozdzierająco smutne.

Nie naszą jest rzeczą wykazywać, co Ewangelia mówi o zgorszeniu danem maluczkim, ale w obecnych czasach odstręczać takiem postępowaniem lud od duchowieństwa, to ciężki, bardzo ciężki błąd polityczny, bo takie działanie rzuca całe tłumy w objęcia hetery socyalistycznej. *Sanguinem autem eorum a te requiram.*

Na tem kończą się na razie nasze luźne i bardzo oględne uwagi. Z niechęcią i wstrętem braliśmy za pióro, przystępując do skreślenia tych kilku słów. Wolelibyśmy stokroć pisać szumny panegiryk, skonstatować solidarność duchowieństwa i pogratulować mandatu zacnemu kapłanowi — inaczej niestety chciały losy. Może przyjdzie jeszcze chwila, że goryez naszego języka zamieni się w miód, że zamiast pisać przestrogi, będzie nam danych umieszczać sane pochwały i słowa uznania. — może ta chwila już bliska... Tem lepiej dla interesowanych, tem lepiej dla naszego stronnictwa i naszego pisma. Ale dzisiaj smutno nam i przykro, że musieliśmy wytknąć błędy tym, którzy powołani są do niesienia światła prawdy milionom. Oby przynajmniej Bóg to sprawił, by tych kilka słów wydało owoc choćby i maleńki.

Józef Mosch.

Od p. posła Pawła ks. Sapiehy otrzymujemy następujące pismo:

W numerze 335-tym z dnia 3 grudnia 1898 «Kuryera Lwowskiego» w korespondencyi z Jasła p. t. «Rogate Koło» powiedziano między innemi: «p. Sapieha przyznał, że rzeczywiście krew się w żyłach kuje, co do wielu przedłożeń ugodowych».

I dalej: «Ale jak przyjdzie ugoda pod rozprawę w pełnej Izbie, to my t. j. «Koło Polskie» rogi pokażemy — byleby obstrukcya nie przeszkodziła». A wreszcie «p. Sapieha nie mając innego wyjścia, chciał Stapińskiego podać w podejrzenie ludu, że dlatego nie chce podwyższenia podatku od wódki, aby się lud rozpijał».

Gwoli prawdzie, konstatuję: że zanadto kocham mój język ojczysty, bym go śmiał tak kaleczyć i tworzyć wyrażenie tak monstrualne jak: «kucie się krwi *co do* przedłożeń».

Co do drugiego ustępu pozwalam sobie zauważyć, że gdybym był chciał cośkolwiek o przyszłem zachowaniu się «Koła Polskiego» mówić, to inny temat byłbym sobie wybrał — nie jestem bowiem dosyć naiwnym, by móc twierdzić, że «Koło Polskie» w plenum Izby zdezawuuje swych członków komisyi ugodowej.

Pan korespondent słyszał, że gdzieś dzwoniono — wziął praeteritum za futurum.

Trzeci ustęp jest dziwnym sposobem dania mi niewymownej satysfakcyi. Czy może było p. Stapińskiemu bardzo nie na rękę, że przypomniałem mu, że on w «Przyjacielu ludu» i «Kuryerze lwowskim», wspólnie z Neue freie Presse, temu $1^1/_2$ roku, gdym ja się poważył poddać w wątpliwość, ażali ów wielki postulat stronnictwa ludowego, mający na celu podwyższenie do ostatnich granic podatku od wódki, jest zgodnym z istotnym interesem ubogiego konsumenta — ogłosił mnie za wstecznika, dążącego do rozpajania ludu i t. p. Obecnie zmienił Pan Stapiński zdanie i dziwi mnie dlaczego, zamiast poprostu przyznać się do tego, pozwolił korespondentowi swemu minąć się z prawdą.

Wszak w Jaśle tylko pytałem, co właściwie jest zdaniem p. Stapińskiego słusznem i pożytecznem, czy podwyższenie podatków konsumcyjnych czy status quo.

Zdaje mi się, że miałem do tego prawo skoro teraz diametralnie innego jest zdania niż temu rok.

Na resztę insynuacyj i zaczepek pana korespondenta jasielskiego nie odpowiadam — należą one do kategoryi «głosów», na które rozsądny człowiek nie uważa, i na te byłbym nie zważał, gdyby mnie o ujęcie się za prawdą nie wzywano. Przypuszczam, że ci co w Jaśle na zgromadzeniu Tow. rolniczego byli obecni, sami prawdę od plewy odróżnią — a temu kto ich i siebie tak lekceważy, iż w przykrętach i nieprawdzie szuka broni na przeciwnika, chyba tego za zasługę nie poczytają.

Jeden tylko fakt jeszcze skonstatować uważam za stosowne t. j., że p. Stapiński wobec kilkudziesięciu słuchaczy otwarcie w Jaśle przyznał, że «właściwie ugoda z Węgrami dotyczy tylko interesów t. zw. «obszarników», a lud jako taki mało obchodzi. Konstatowałem to zaraz na miejscu w Jaśle i konstatuję obecnie, gdyż w organie p. Stapińskiego rzecz ta inaczej bywa przedstawianą.

Na nasz artykuł umieszczony w numerze 47 *„Grzmotu“* otrzymujemy od pana posła Gniewosza następujące pismo:

Uwiadamiam Szanowną Redakcyę, że wypełniłem wszystko co *Kościół* w takich razach przepisuje, aby uzyskać *przebaczenie* i z Kościołem się pogodzić! Na moje tłumaczenie wobec świata katolickiego przytoczyć mogę, że prawie pod natchnieniem działałem, w tak drażliwej chwili, jak Daszyński pierwszy do głosu doszedł, a ja musiałem dopiero uzyskać pozwolenie do przemówienia itd. Umyślnie z *pogardą największą* odpychając obelgę — musiałem na wy-

zwanie Wolfa być przygotowanym, choć jestem już starszy człowiek 58 lat, ojcem 4 dzieci — potrzebny dla rodziny, i *niewiele widzę* — a pałasza od 1866 r. nie używałem. Jako c. k. *rotmistrz w p.*, na sekundantów obrałem 2 oficerów — jeden zastępcą Arcyksięcia Reinera w komendzie obrony krajowej, drugi poseł i oficer w pensyi. *Sekundanci mieli decydować*, czy się mam z Wolfem bić! Zasięgli zdania *najwyższych wojskowych w Wiedniu* i zadecydowali, że Wolfowi trzeba dać *satysfakcyę!* — Stanąłem więc, naraziłem życie, nie parując cięć Wolfa chciałem go *porąbać*, ale Bóg chciał inaczej bo tylko *płazem* kilkanaście cięć dostał aż mnie od niego oderwali. Ręki nie podałem, on wziął lewą; ale o tem mieli sekundanci decydować, którzy jednak wyszli protokół pisać.

Ja *broniłem honoru Narodu polskiego*, zostałem przez Wolfa *wyzwany*, dałem moje życie za to, bo kto obraża, musi się i na wyzwanie i narażenie życia przygotować.

Z naszych stowarzyszeń.

W niedzielę dnia 1go stycznia 1899 r odbędzie się w lokalu »Przyjaźni« krakowskiej wieczorek tańcujący. Wstęp dla członków mężczyzn 20 ct., dla pań 15 ct., dla nieczłonków od osoby 30 ct. Początek o godzinie 7-mej wieczór. Nb. Dnia 6 stycznia, drzewko dla dzieci Przyjaźniaków, o godzinie 5-tej popołudniu. Wstęp dla dorosłych 10 centów, dla dzieci wstęp wolny. — Członkowie, życzący sobie, aby ich dzieci wzięły udział, zechcą je zapisać do dnia 3 stycznia w lokalu Stowarzyszenia. Dnia 8 stycznia wspólny opłatek dla członków, o godzinie 5-tej popołudniu. Udział 25 ct. od osoby. — Bilety wstępu do dnia 7-go bm. do nabycia u kursora.

Czytelnia kolejowa rozpoczęła zabawy karnawałowe 26. bm. operetką »Piękna Helena« — i tańcami — które przeciągnęły się późno w noc nie zakłócone żadnym dysonansem. — Operetka odegraną została z werwą i humorem przez Amatorów członków Czytelni. — Główne role Agamemnona, Menelausa, Parysa, Kalchasa wypadły bardzo poprawnie — górowała nad niemi królowa Sparty; — role wesołych cór służebnej Heleny i Ajaksów — dostroiły się do całości. Niezwykle bogata garderoba jak na amatorski teatr, niemało przyczyniała się do świetności przedstawienia i przejęcia się grających amatorów swemi rolami.

W lokalu Przyjaźni krakowskiej pokrewne Stowarzyszenie »Związek katolickich piekarzy« w poniedziałek dnia 26. bm. urządziło amatorskie przedstawienie. — Na program złożyło się: »Lichwiarz« z oper. Junoszy — Podejrzana osoba, kom. St. Dobrzańskiego — Emulacya z p. Maryanną, monolog — Na ulicy — Dyalog Szymanowskiego — Śpiew: Dwaj dragoni — Zakończyła kom. Kamińskiego Kominiarz i młynarz, w której kuplety nacechowane lekkim dowcipem — w duchu stowarzyszeń katolicko-robotniczych wywołały niemałe oklaski. — Całość w której przyjęli współudział członkowie pokrewnego stow. »Jutrzenki« wypadła dobrze, w szczegółach bardzo poprawnie.

Tarnopol. Dnia 26. bm. odbyła się w stow. »Przyjaźni« uroczystość łamania się opłatkiem. Podniosłe i prawie rodzinną nacechowanie serdecznością zebranie, nabrało przez rzewne i zastosowane do chwili przemówienie księdza Bisztygi tembardziej większego znaczenia i wywołało rzęsiste oklaski. Prócz wielu innych przemawiał przyjaźniak A. Ternowicz i swoją treściwą i szczerą mową porwał słuchaczy, zachęcając ich do zgody jedności i łączności.

Z Przyjaźni w Prądniku Czerwonym. W dzień św. Szczepana odbył się w tutejszej »Przyjaźni« wspólny opłatek. Koło bogato przybranego drzewka zebrał się liczny zastęp przyjaciół razem z żonami i dziećmi. Zebranie zaszczycili swą obecnością ks. dr. P. Ryłko kurator, p. Tabor b. dyrektor szkoły i p. zastępca p. Kudasiewicza. Nastrój panował podniosły. W imię hasła »Bóg i Ojczyzna« śpiewano naprzemian kolędy i patryotyczne pieśni. Bawiono się i przemawiano ochoczo życząc sobie wzajemnie i Przyjaźni całej tego zapału i tej ochoty do życia jaka ożywiała przy płonącem w świetle drzewku wszystkich. Rozpromieniona radością i obdarowana łakociami dziatwa długo zachowa w pamięci tę piękną chwilę. Późno wieczorem rozchodzili się przyjaciele z życzeniem na ustach: szczęść Boże w przyszłym już nadchodzącym Nowym Roku. Z okazyi wspólnego opłatka zebrano na wniosek p. Macieja Lisza 2 zlr. 1 cnt. na szkołę polską w Białej i przesłano je do Redakcyi Grzmotu.

Związek katolickich piekarzy.

W uroczystość Bożego Narodzenia wieczorem odbył się po raz pierwszy w naszym związku wspólny opłatek. W pięknie przystrojonej sali zasiedli członkowie do skromnie zastawionego stołu. Oprócz członków, którzy licznie się zgromadzili, niektórzy z żonami, zaszczycili nas swoją obecnością ks. J. Masny kurator, p. Stróżyński prezes związku okręg. kat. stow., i p. Owsiak. Ks. Kurator rozpoczynając ten rodzinny obrzęd łamiąc się opłatkiem, życzył pomyślnego rozwoju nie dawno założonemu Stowarzyszeniu na ręce p. prezesa Leona Bałuka.

Przy skromnej przekąsce przemówił w gorących i serdecznych słowach p. Stróżyński na temat skupiania się robotników pod sztandarem katolickim.

Członkowie z otuchą w sercu opuścili lokal w nadziei, że Pan Bóg pozwoli im niejeden opłatek w związku obchodzić.

Dnia poprzedniego w wigilią Bożego Narodzenia urządził *Związek* wspólną *wigilią* dla członków nie mających zajęcia; dzięki ofiarności p. majstrów piekarskich, zaco im ślemy serdeczne Bóg zapłać.

Z Nowym Rokiem.

Z Nowym Rokiem **z nową wiarą**,
Cierpmy, walczmy i pracujmy;
Choć spotkamy biedę starą,
Z **nowym** duchem twardo stójmy.

A gdy trzeba to w złej chwili,
Będziem góry przenosili,
I Bóg rzecze: «Jam twa siła,
Wiara twoja cię zbawiła»...

Z Nowym Rokiem **ufność nową**,
Wdziejmy na się tak jak zbroje,
A moc weźmiem Samsonową
Na cierpienia i na boje.

O szczęśliwy, kto w złej dobie,
W Bogu ufa a nie w sobie!
Ten śród nocy, burz, powodzi,
Tak po morzu, jak Piotr chodzi,

Z Nowym Rokiem **miłość nową**,
Miłość Boga, miłość ludzi,
Z oifarnością Chrystusową
Niechaj każdy znów rozbudzi.

Bez miłości wszzstko szkodzi:
Miłość dźwiga, uczy, słodzi:
Miłość jasna w niebios droga.
Miłość robi dziećmi Boga.

Roku Nowy, Roku Nowy!
Co tam niesiesz dla nas w dłoni?
Czy krzyż jaki Chrystusowy?
Czy cierń jaki z Jego skroni?

Nieś co zechcesz: miód, czy bóle,
Ja do Boga się przytulę
I toń życia śmiało pruję,
Bo ja *wierzę* i *miłuję*....

Bartłomiej Kropidło,
„Przyjaźniak".

KRONIKA.

Terroryzm socyalistów postawiła w nowem świetle rozprawa sądowa, która odbyła się niedawno przed sądem przysięgłych w Bayreuth. Prokuratorya państwa oskarżała 21 socyalistów o zbrodnię gwałtu i zakłócenia porządku publicznego. Rozruchy powstały wskutek wyboru narodowo-liberalnego Münch-Ferbera na posła do Rady Państwa. Socyaliści dowiedziawszy się, że ich kandydat Stücklen przepadł z kretesem, wpadli w taką wściekłość, że stanęli przed lokalem zajętym przez narodowych liberatów, wybili wszystkie szyby, stawili czynny opór policyi i obeszli się w ohydny sposób z żandarmami. Rozprawa wykazała, że hersztem motlochu był niedoszły poseł do Rady Państwa, towarzysz Stücklen. Trybunał zapewnił mu dlatego dwuletnie bezpłatne mieszkanie i utrzymanie w kryminale, zaś 18 towarzyszy skazał na 1-9 miesięcy aresztu.

Ks. Stojałowski w ostatniej swej «Pszczółce» raczył nazwać nas *malowanymi katolikami*, którzy swoimi programami katolicko-narodowymi bałamucą ludzi, bo zamiast sprawiedliwości, ofiarują im miłosierdzie. Podziwiamy przenikliwość ks. Redaktora i cieszymy się mocno, że ks. Poseł stoi już na gruncie *prawdziwego* katolicyzmu. Nieuprzedzonym zdawaćby się jednak mogło, że przeszłość ks. Stojałowskiego pozbawiła go prawa sądzenia o rzetelności i szczerości czyichś przekonań religijnych. Radzimy naszemu koledze po piórze, by ze swymi przeciwnikami walczył lojalnie i nie sadził się na tak stanowcze twierdzenie, iż zamiast sprawiedliwości ofiarujemy ludowi miłosierdzie. Gdzie to ksiądz Redaktor wyczytał, skąd ten wniosek wysnuł, zaprawdę trudno się domyślić. Kabała to nielada. Ks. Stojałowski, wątpiąc o naszym katolicyzmie, pozazdrościł sławy humorystycznej *Głosowi Narodu*, który swego czasu zarzucił nam sympatyzowanie ze stańczykami.

W tymsamym numerze ubolewa ksiądz Poseł, że odszczepieństwo znanych dwu posłów, a równocześnie fakt, że ci dwaj posłowie wraz z Lewickim zarwali kasę wspólną na przeszło 1500 zlr., sprawiło, że stronnictwo jego nie mogło czynnej i energicznej podjąć walki o ten mandat sejmowy (Nowy Targ);.. «odszczepieńcy ci *wręcz pozbawili nas* tego mandatu sejmowego«. — Co za pewność siebie! Faktycznie ks. Stojałowski robi konkurencyę *Djabłowi*.

Stany Zjednoczone niewielką mają pociechę z wysp Filipińskich, bo amerykańska załoga w Manilii podniosła bunt. Załoga żąda, by ją wypuszczono do domów, zwłaszcza że morderczy klimat dziesiątkuje jej szeregi. Miesięcznie umiera około 100 ludzi. Rząd ani myśli słusznemu żądaniu wojska zadośćuczynić, bo krajowcy nie chcą uznać amerykańskiej władzy i buntują się ustawicznie.

Koszta zwycięstwa nad Hiszpanią wynoszą skromną kwotę 20 miliardów. Całą tę sumę ściągnięto z pożyczek. Aby ten ogromny dług spłacić, podniesiono budżet państwa o 675 milionów, a na 9 milionów dano obligi państwowe 3 procentowe. Jak wielkim był zapał wojenny w Ameryce, można z tego wywnioskować, że obligi te znalazły 320.000 nabywców. Aby rozbudzić patryotyzm w Amerykanach, robił rząd nadzwyczajne wysiłki, wysyłając wezwanie do 24.000 gazet, do wszystkich banków i biur pocztowych, by zachęcić ludność do nabywania obligów państwowych. W pokoju nadaje wojsko Ameryka dziennie przeszło 5 milionów zlr. W czasie wojny dziennie wydatki wynosiły 25 milionów zlr. Zato zdybyły Stany przestrzeń 400.000 kilometrów kwadratowych i 12 milionów poddanych. Wydatki jednak nie są zamknięte, właściwie rozpoczynają się one dopiero teraz. Stany Zjednoczone przestały być tylko amerykańskiem mocarstwem, stały się potęgą światową. Że zaś pojityka wielkich mocarstw kosztuje dużo, to odczuwają dobrze Francya i Niemcy. Stany Zjednoczone muszą powiększyć teraz swą flotę i armię lądową, ubezpieczyć zdobyte obszary — militaryzm przekracza w tej chwili granicę wolnego państwa. Wojna z Hiszpanią dużo kosztować będzie Amerykę; nie mamy przyczyny nad tem ubolewać.

Nędza. Straszny wypadek zdarzył się niedawno temu w Brigittenau przy Wiedniu. Znaleziono tam umarłego robotnika w — gnoju. Od wiosny był ten biedak (Józef Kasner, 40 lat) bez dachu i żył gorzej od zwierząt. Ze starych, zleżałych śmieci zbudował sobie jaskinię, wysłał ją słomą, i tam na zbutwiałym sienniku, mając kilka szmat pod głową, sypiał całe lato. W nocy z 23 na 24 listopada widziano go w szynku opodal niedaleko od owego legowiska położonym. Kiedy wychodził, taczał się i chwiał na nogach, widocznie wypił za wiele. Kilka dni później wyciągnięto go nieżywym z pod kupy gnoju, która była jego salonem i sypialnią. Widocznie ściany tego prymitywnego domostwa zawaliły się i nieszczęśliwy udusił się w gnoju.

Judaszowe oddanie czci wieszczowi. Nieśmiertelny nasz wieszcz milionem serc ukochał naszą ojczyznę, miłością jej wskazał nam ideały, myśl wyższą i głębszą i był wzorem jej synów. Jakże postępują faryzeusze i renegaci ze żydowskiej szkoły patryotyzmu? Oni tę samą skołataną Ojczyznę jeszcze przed rokiem nazywali «nierządnicą w łachmanach», a na panteon narodowych pamiątek wskazywali, że «tam leżą prochy waszych tyranów». Na czele zaś armii robotniczej stawiają sztandar międzynarodowy, sztandar nowego patryotyzmu, bo sztandar czerwony, sztandar krwi i nienawiści. Tak było przed rokiem.

Lecz kiedy ich z centralnego komitetu socyalistycznego w Londynie zbesztano i kiedy sami robotnicy poczęli się od nich odwracać, zmienili taktykę i dziś udają gorących patryotów. Zapomnieli jednak, że zdjemcom już nigdy się nie wierzy. A dla czego? Bo patryotyzm swój fabrykują na Kazimierzu i objawiają go w formie czerwonych wstęg, wykonanych zapewne w jednej z żydowskich pracowni.

Lecz nie dość na tem. Bo w chwili, kiedy Warszawa, a z nią naród cały wznosi pomnik wieszczowi narodu i w skupieniu ducha czci pamięć i sławę wielkiego syna Polski, kiedy nawet wrogowie uszanować muszą ten potężny, ogólny nastrój ducha, to tutejsi międzynarodowcy wyzyskują tę uroczystą chwilę do swojej brudnej reklamy i obwieszają wieńcami pomnik wieszcza, rzekomo od robotników polskich w granicach caratu zamieszkałych pochodzącymi.

Że profanują brudnemi rękami na wspól z żydami pomnik wieszcza narodu, to oburzyli nie tylko ludność miejscową ale i kraj cały; ale żeby wnosić podczas tak wielkiej choć niemej i cichej uroczystości, jaką jest odsłonięcie pomnika wieszcza w Warszawie, dysonans, i narażać robotników polskich na najgorsze nastąpić mogące prześladowania i zapełnienie cel cytadeli, to nie tylko godne pogardy, ale jest podłością!

Aranżerzy tej karygodnej szopki nie znają ducha robotnika polskiego w Królestwie i ubliżyli mu śmiertelnie, identyfikując go z żydowskimi socyalistami.

Niewola ducha nie ostudziła jego cichego, prawdziwego patryotyzmu, lecz owszem spotęgowała; i od niego to, niech się kochać Ojczyznę nauczą!

Co zaś do chleba i doli, to nigdy nie przyjmie pomocy od tych, którzy nie robotnika, ale interes naszych najserdeczniejszych na myśli mają.

Dnia 27. grudnia zaszedł w kościele Panny Maryi skandaliczny wypadek. Do Świątyni wszedł w stanie opilstwa, z czapką na głowie, Jan Pałka, lat 24 liczący, szewc z Chrzanowa. Gdy Pałka zaczął się w kościele nieprzyzwoicie zachowywać, publiczność wezwała policyanta, aby go wyprowadził. Wyprowadzony z kościoła, zaczął Pałka wymyślać na kaprala policyjnego Siupika, rzucił się nań, znieważył go czynnie i począł drapać po twarzy tak, że Siupika zalała krew. Wtedy policyant dobył szabli, aby uderzyć napastnika w rękę i w ten sposób uwolnić się od niego. W tej chwili jednak rzuca się nań powtórnie Pałka, zrzuca mu czako z głowy i wśród szamotania się otrzymuje cięcie szablą w głowę, na 6 cm. długie. Sprowadzony na inspekcyę Pałka, robił dalej awantury krzycząc, że mu wszystko jedno, czy jest w kościele, czy w szynku. Na razie odstawiono go do szpitala.

W Czystyłowie pod Tarnopolem zjechało się do tamtejszego oficyalisty na święta dużo gości, a między nimi i manipulanci sądu tarnopolskiego. Wśród gości wszczęła się sprzeczka, pośród której niejaki Kordela wymierzył 30 letniemu Fedunykowi silny policzek, a Fedunyk upadł tak nieszczęśliwie, że natychmiast skonał. Kordelę aresztowano.

Socyaliści lwowscy urządzili dnia 27 grudnia zgromadzenie pod przewodnictwem tow. Lisiewicza. Przemawiał tow. Kozakiewicz, tow. Hankiewicz, tow. Żelaszkiewicz itd. — wszyscy błotem obrzucali społeczeństwo, które nie chce się łączyć z kanalią socyalistyczna. W końcu na wniosek Kozakiewicza uchwalono rezolucyę do Sejmu z żądaniem powszechnego głosowania do Sejmu i rad gminnych.

Sejm galicyjski rozpoczął swe trzydniowe obrady dnia 28 gr. W przyszłym numerze ocenimy działalność sejmu i podamy obszerną treść mowy p. marszałka Badeniego i hr. Pinińskiego.

Trzy pojedynki. Dnia 28 grudnia odbyły się w Budapeszcie trzy pojedynk, między deputowanymi węgierskimi a mianowicie pojedynek min. Fejerwary'ego z Karoly'm, z którego obaj przeciwnicy wyszli bez szwanku, pojedynek Kubika z Kenadym, w którym obydwaj odnieśli rany, a wreszcie między Ssenerem i Gayarym. Ssener otrzymał dwa cięcia w głowę i został uznany za niezdolnego do dalszej walki.

Sprawiedliwość. W dobrach Jankenwalde w Niemczech dozorował ogrodnik Robert Wittstock zajętych przy uprawianiu buraków robotników i robotnice polskie. Kiedy dnia 22 czerwca, polska robotnica Niedziołka przy wyrywaniu chwastów wyprostowała się nieco, Wittstock tak silnie laską uderzył kobietę, że upadła na ziemię. Robotnica wzniosła krzyk, naco odpowiedział jej dozorca, że ma się wynieść z pola pracy i gwałtem wywlókł ją na drogę. Na hałas, jaki wskutek tego powstał, zbiegli się współrobotnicy i współrobotnice, między nimi mąż pobitej i zbliżali się dozorcy, by zażądać odeń wytłómaczenia się z tak barbarzyńskiego postępowania. Wittstock wyciągnął rewolwer i powstrzymał całą rzeszę krzycząc: zurück! Z wyjątkiem męża pobitej wszyscy stanęli na miejscu, Niedziołek tylko szedł śmiało dalej, by zasłonić sobą żonę. Wtem padł strzał i Niedziołek padł na miejscu trupem. — Sąd przysięgłych, złożony po większej części z właścicieli dóbr, uwolnił całkowicie od winy mordercę polskiego robotnika. — Jest to prawie nie do uwierzenia! Jankenwalde leży przecież w cywilizowanych Niemczech a nie w ojczyźnie Hottentotów lub Kafrów. Mimo to takie ohydne postępowanie!

Hr. Anna z ks Schwarzenbergów Thunowa, małżonka prezydenta ministrów po krótkiej chorobie zakończyła życie. Cesarz w liście własnoręcznie pisanym złożył kondolencyę hr. Thunowi.

Ostatni proces z powodu zaburzeń antysemickich skończył się w Nowym Sączu. Oskarżonych było 56. Z tych uwolniono 3. jednego zasądzono na miesiąc więzienia, trzech na 3 tygodnie, trzydziestu na 2 tygodnie, dziesięciu na 10 dni i sześciu na tydzień więzienia.

Zbrodniczy zamach. Z Opawy otrzymuje *Extrablatt* następujące doniesienie: Kiedy pociąg, w którym nowo mianowany prezydent Szlazka hr. Thun — Hohenstein wracał z Wrocławia, przejeżdżał do Opawy, spostrzegł zwrotniczy leżącą na szynach barykadę. Z trudnością w ostatniej chwili zdołał usunąć przeszkodę, a mianowicie progi kolejowe i stare żelaziwo. Podczas tej pracy ugodzono go kamieniem, rzuconym z oddali. Władze policyjne nie wykryły dotychczas zbrodniarza. Jako podejrzanego, aresztowano dozorcę kolejowego Nawratila.

Redakcya Tygodnika ilustrowanego przeznacza dla swoich prenumeratorów wspaniałe premium. Każdy bowiem prenumerator otrzyma co miesiąc jeden tom dzieł Sienkiewicza. W drukarni Anczyca przygotowuje się nowe staranne wydanie tychże dzieł, które obejmować będzie cały dorobek literacki znakomitego powieściopisarza.

Odsłonięcie pomnika Mickiewicza w Warszawie odbyło się wśród niczem niezamąconego spokoju. Publiczność zachowała przez cały czas majestatyczną powagę. Gdy odsłonięto pomnik, tysiące odkryły głowy i patrzyły z uwielbieniem na posąg ukochanego wieszcza. Mów nie było żadnych. Sienkiewiczowi zabroniono mówić, a ks. Radziwill dobrowolnie zrezygnował. — Cały pomnik zasypano formalnie kwiatami i wieńcami. Nie brakło i przedstawicieli prasy, obecni byli delegaci z Wilna, a już najbardziej rozczulający widok przedstawiały delegacye włościańskie.

Sam pomnik, to nie nasz krakowski — za przeproszeniem — bohomaz. Postać Mickiewicza, odlana z bronzu, wysoka na 6 łokci i 8 cali, pochyla się nieco w tył, a głowa wzniesiona zda się ogarniać wyższe sfery i horyzont wszechświata. Wyraz twarzy prawdziwie natchniony, wieszczy, ruch ręki szlachetny, ubiór prosty, — cała postać bez przesady, bez afektacyi, zachwycająca harmonią w liniach i spokojem. Przy niej niema dzięki Bogu tych chudych jak szczypa wojowników ni kopii żony Rygiera, którą widzimy na rynku krakowskim.

Ofiary rewolucji. Ile ofiar z ludzi, majątków i kapitału potknąć może jedna rewolucya, wykazuje dokument państwowej francuskiej kancelaryi, w którym znajdujemy następujące cyfry: Od 21 września 1792 do 28 października 1795 za panowania Konwentu zginęło we Francyi przez wygnanie, wojny domowe, sumaryczne rozstrzelanie, przymusowe utopienie i gilotynę 989.816 mężczyzn, kobiet i dzieci — w koloniach 188.400 osób. Liczba poległych w wojnach rewolucyi wynosi 850.000 żołnierzy. W Wandei zginęło 202.000 osób. Terroryzm konwentu spowodował samobójstwo 8.194 ludzi. Głód zniszczył ni mniej ni więcej tylko 20.090 egzystencyi. Na zarazę umarło we więzieniach 3.200 osób. Rewolucya stała się przyczyną, że 1550 ludzi oszalało. Ogółem rewolucya francuska, ta chwila, od której datuje się nowa era rzekomej cywilizacyi i postępu, ta matka wolności, braterskości i równości — pożarła sama 2,266.719 ludzi.

Majątki zakonów stały się przedmiotem szczególnej troskliwości ze strony socyalistów francuskich, którzy obawiają się, by «dobry żołądek Kościoła nie został przeładowanym». Dziwną jednak jest rzeczą, że w psiarstwie socyalistycznem nie budzi obawy nagromadzenie kapitałów *w jednej* ręce. Być może, że tylko dlatego kanalia socyalistycza tak gromkie wznosi protesty przeciw zwiększaniu majątków kościelnych i zakonych, by ogólną uwagę odwrócić od kapitalistów żydowskich. Czytamy że Rotszyld paryski posiada gruntu 180.000 hektarów, czyli przeszło 300.000 morgów; do tego dodać trzeba najlepsze winnice w całej Francyi, 8.500 domów w Paryżu. Wszystkie zakony Francyi posiadają 67.000 hektarów, a zatem tylko trzecią częścią tego, co posiada Rotszyld; ale też liczą blisko 140.000 członków i żywią przytem kilkaset tysięcy sierót, ubogich i kalek. Cały majątek zakonów wynosi według urzędowego sprawozdania 600 milionów, podczas gdy Rotszylda liczą na 10 miliardów, czyli 10.000 milionów. Cóż za proporcya! A przecież przeciw Rotszyldowi nikt nie powie nic, psinki socyalistyczne łaszą się mu na wyścigi i liżą jego pięty; zato z tem większą zajadłością szczekają na kapitały jezuitów!

Sprowadzenie zwłok Słowackiego. Na zebraniu Czytelni akademickiej, w której udział wzięły stowarzyszenia «Jagielonia», Kółko prawników, Kółko rolników i wiele osób prywatnych, postanowiono ukonstytuowanie liczniejszego komitetu, który ma się starać o sprowadzenie na ziemię polską i na Wawel jednego z największych poetów polskich, a młodzieży równie sympatycznego jak Mickiewicz.

Oszczędność w Belgii. Wkładki oszczędności wynosiły w tym roku w państwowej belgiskiej kasie oszczędności 51 milionów franków, liczba książeczek oszczędności 139.042, tak że na każdą książeczkę wypada przeciętnie 386 fr. Największą ilość książeczek posiadają małoletni (51.500), po nich idą przemysłowcy (16.000), właściciele i rentierzy (8.000), robotnicy (7.400). W 6.828 szkołach mieszczących 304.000 dzieci uskładano 6,700.000 fr. — U nas inaczej, inaczej...

Druk W. L. Anczyca i Spółki w Krakowie. Redaktor odpowiedzialny: Józef Ligęza. — Wydawca: Antoni Stróżyński.